2025: ROK NA HUŚTAWCE

str. 10-11

FAKTY PO MITACH

Nr 1 (277), 31 grudnia 2025 r. – 8 stycznia 2026 r.

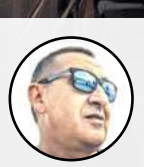

MIŁOŚĆ I OBŁUDA: Czy w święta dostrzegliście Boga w sąsiedzie? Nic nie szkodzi... (Darek Cychol, str. 2)

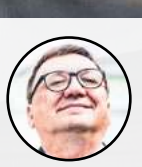

JAK ZOSTAĆ POLAKIEM: Czy Matka Boska Częstochowska zdałaby test na Polkę... (Piotr Gadzinowski, str. 18)

MEBEL-SYMBOL, ALE CZEGO?: W Polsce nawet meble bywają politycznie podejrzane i konfliktogenne... (prof. Joanna Senyszyn, str. 19)

9 772719 530604 01

cena 11,99 zł (w tym 8% VAT)

ISSN 2719-5309 INDEX 434000

tygodnikfaktypomitach

faktypomitach.pl

eprasa.pl 3303931078

Akademia absurdu

Miłość i obłuda

Czy w święta dostrzegliście Boga w sąsiedzie? Nie? Nic nie szkodzi. Niech pocieszy Was dobra nowina: w nowym roku odzyskamy niepodległość.

Wminione święta zadzwonił do mnie mieszkający za granicą Kolega, dziennikarz. Wyjaśnił, że przygotowuje tekst podsumowujący mijający rok. Prosił swoich rozmówców – dziennikarzy z całego świata – o wskazanie słowa, które najlepiej by go opisywało. Wybrałem je bez wahania – „obłuda".

– Ech, myślałem, że będziesz bardziej oryginalny, tymczasem mówisz to samo co inni moi rozmówcy: obłuda, fałsz, kłamstwa, dezinformacja, propaganda. Obojętnie czy rozmawiam z Amerykaninem, Rosjaninem, Niemcem, Ukraińcem, Izraelczykiem, słyszę właściwie to samo. Przestałem ich nawet dopytywać o przykłady, bo wygląda na to, że prosta sonda zamienia się w felieton. I to dość banalny – odparł wyraźnie zrezygnowany.

Z jednej strony, poczułem się dobrze wiedząc, że odbieram rzeczywistość podobnie jak moi koledzy po fachu, z drugiej, poczułem lekki strach, bo niczego nie boję się tak jak sztampy. Usiadłem do komputera próbując znaleźć jakieś pozytywy w życzeniach, które składali nam polscy politycy. Niestety, nic mnie nie zaskoczyło.

„Życzę wszystkim, każdemu, każdemu z nas, z naszej wspólnoty polskiej, czyli ojczyzny, życzę Bożego Błogosławieństwa. Życzę przyjęcia Pana Jezusa osobiście. Nie wystarczy powiedzieć *wierzę* – trzeba przyjąć, uwierzyć. Życzę tego uwierzenia Panu Bogu i bardzo dobrych relacji, serdecznych relacji z Tym, który posłał nam swojego Syna, gdy patrzymy na tę maleńką miłość" – pięknie zagadał biznesmen i niekwestionowany autorytet polskiej prawicy Tadeusz Rydzyk. Wsłuchując się w jego słowa miałem wrażenie, że namawia mnie do wpuszczenia wirusa do komputera, który ocenzurowałby moje teksty, a docelowo przejął pieniądze z konta. Nie pomyliłem się, bo obok przytoczonych życzeń, na stronie internetowej Radia Maryja, znalazłem ich twórcze rozwinięcie; również wypływające z serca Ojca Inkasenta: „Znowu jesteśmy świadkami kolejnych ataków na Rodzinę Radia Maryja, między innymi przez ataki na Radio, na całe nasze centrum ewangelizacyjne, ale również na Muzeum *Pamięć i Tożsamość*. (…) My jesteśmy teraz w tej niewoli. Nowy Babilon – media liberalno-lewicowe. I nawet sobie z tego nie zdajemy sprawy. (…) Kochani, pomyślcie też o prenumeracie m.in. *Naszego Dziennika*".

Szukałem dalej. „Niech nowonarodzony Zbawiciel rozjaśnia mroki codzienności i otwiera serca na Jego cichą, ale potężną obecność. Niech nasze domy wypełni Jego miłość, nasze relacje – dobroć, a nasze serca – wdzięczność, która potrafi zobaczyć w każdym dniu dar" – powiedział przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski (KEP) ks. abp Tadeusz Wojda. Panie przewodniczący. „Nowonarodzony" urodził się ponad 2 tys. lat temu i ni cholery nie widzę pozytywnych efektów Jego ziemskiej misji. Polakom dał dziesięcinę, zabory, dziesiątki wojen, utratę niepodległości itd. No i kapłanów, jak Paetz, Gulbinowicz, Jankowski, Kania, Dziwisz, Głódź, Rydzyk, Jędraszewski czy pan. Zamiast „otwarcia serc" wolałbym, żebyście otworzyli swoje skarbce, przeznaczając pieniądze na walkę z ubóstwem, rozwarli furty pałaców, luksusowych plebanii, pustych seminariów i klasztorów dla bezdomnych. Ale gdzie tam! Wolisz pan prawić o „rozjaśnieniu mroków codzienności".

Wcale lepiej nie odebrałem słów prymasa Polski, arcybiskupa gnieźnieńskiego Wojciecha Polaka: „Historia i tradycja łączą pokolenia, umacniają wiarę i inspirują do tego, abyśmy byli światłem i nadzieją dla drugich. (…) Bądźmy więc pielgrzymami nadziei, bądźmy zwiastunami pocieszenia, bądźmy świadkami i misjonarzami miłości". Od kilkudziesięciu lat robię, co mogę, żeby ustrzec się przed tą waszą miłością, panie prymasie. To czego mi pan życzy, klęski? Hierarcha miał naprawdę dobry humor: „Zobaczyć Boga w człowieku. Po to w tę noc, właśnie dziś, Jezus Chrystus stał się człowiekiem, Bóg stał się człowiekiem, byśmy mogli być z Nim i być choć trochę do Niego podobni" – straszył. Bo tak odbieram jego życzenie, bym dostrzegł Boga w Jędraszewskim.

Ludzkim głosem przemówił premier Donald Tusk: „Jest nas bardzo wielu. Polacy w milionach serc noszą ogromną siłę. Póki jesteśmy razem, póki w to wierzymy, przyzwoitość, prawda, uczciwość, miłosierdzie będą górą. To my decydujemy, jaki jest świat". No jest was wielu, bo tworzycie największy w historii rząd. I ponad dwa lata decydujecie o tym, jaki będzie ten nasz świat. Tylko co z tą „prawdą" i „uczciwością", bo pamiętam hasła, które w 2023 r. doprowadziły was do władzy. Te o rozliczeniu PiS, te o budowie państwa świeckiego, o prawach kobiet do samostanowienia, o naprawie systemu opieki zdrowotnej i reformie ZUS. Jak wam wierzyć?

Bardziej szczery był Jarosław Kaczyński, który między zdaniami życzył nam odsunięcia Tuska od władzy. „Chciałbym życzyć Państwu, by te Święta były szczęśliwe, ciepłe, rodzinne i by nasze sprawy, te właśnie szersze, układały się lepiej niż dotychczas. Byśmy wyszli z tego trudnego okresu w kierunku rozwoju, bezpieczeństwa naszych rodzin, ale także bezpieczeństwa naszego narodu i w stronę takiej sytuacji, w której nasze państwo będzie wykonywało swoje obowiązki wobec obywateli naprawdę dobrze i rzetelnie i sprawiedliwie". Czyli powrotu złodziejstwa, nazywania przeciwników „mordami zdradzieckimi" i dzielenia rodaków na „sorty".

W prawdzie i dobroci stanął prezydent RP: „(…) Spełnia się wielka obietnica. Niech cud Narodzenia Pańskiego obudzi w Państwa sercach nadzieję. Niech Boże Dziecię błogosławi naszej ukochanej Ojczyźnie!". Kiedy słowa takie płyną z ust biografa gangstera, miłośnika kibolskich nawalanek i cudzych mieszkań, gościa, któremu trudno wytrzymać pół godziny, by sobie czegoś do dziąsła nie przykleić – nabierają złowieszczej mocy… Uczucie strachu wzmocnił we mnie europoseł Grzegorz Braun, który zapowiedział, że 2026 r. będzie okresem „walnych bitew" o „odzyskanie niepodległości".

Tydzień po świętach – odnowieni i widzący Boga w bliźnich – dumnie wchodzimy w nowy rok. Znów przytłoczeni dobrocią, miłością i życzliwością tych, którzy ustawiają nam życie. Potem jeszcze wysłuchamy peanów o mocy tego, któremu pokłonili się trzej królowie, ale już po 6 stycznia będziemy mogli wrócić do rzeczywistości, by stwierdzić, że obłuda jest w Polsce silniejsza niż wiara.

Życzę państwu, by w 2026 r. było jej jak najmniej. Niech zwyciężają prawda i zdrowy rozsądek. Najlepszości w nowym roku!

Darek Cychol

---

26 grudnia, w dniu swoich 61. urodzin, zmarł nagle

Cezary Miżejewski

jeden z ostatnich prawdziwych socjalistów.

Był działaczem opozycji w czasach PRL,
członkiem Polskiej Partii Socjalistycznej,
wiceprzewodniczącym Polskiego Komitetu
Europejskiej Sieci Przeciw Ubóstwu,
posłem na Sejm, podsekretarzem stanu
w Ministerstwie Gospodarki, Pracy i Polityki Społecznej,
sekretarzem stanu w Ministerstwie Polityki Społecznej.
Poświęcił życie pracy dla innych.
Jego przedwczesna śmierć jest dla wszystkich zaskoczeniem.
Pociesza nas myśl, że nie cierpiał – zmarł we śnie.

Rodzinie i Bliskim Czarka składamy
najszczersze wyrazy współczucia.

Przyjaciele z „Faktów po Mitach"

FAKTY *bez mitów*

Sędzia Dariusz Łubowski jeszcze niedawno był bohaterem, który uniemożliwił wydanie niemieckiemu wymiarowi sprawiedliwości Ukraińca podejrzanego o wysadzenie gazociągu Nord Stream. Teraz dla zwolenników rządu jest w najlepszym razie dyletantem, w najgorszym zdrajcą – bo uchylił europejski nakaz aresztowania Marcina Romanowskiego. Nagle okazało się, że powoływanie się na polityczny kontekst sprawy w wypadku Wołodymyra Ż. było fantastyczne, ale gdy chodzi o pisowskiego zbiega, już tak nie można. A Romanowski i tak się do Polski nie wybiera.

***

Gęsto robi się wokół innej gwiazdy pisowskiego wymiaru sprawiedliwości – sędziego Łukasza Piebiaka. Prokuratura wnioskuje o uchylenie immunitetu, bo zamierza postawić mu zarzut sfałszowania testamentu swojej dalekiej krewnej. Piebiak był jedynym krewnym sędziwej pani Niny, ale zbyt odległym, by odziedziczyć jej mieszkanie w Warszawie na mocy ustawy. Prokuratura twierdzi, że nie mogąc pogodzić się z tym, że lokal przejmie miasto, sędzia sfałszował podpis na testamencie, sądownie starał się o nabycie spadku, ale złoty interes pokrzyżowała opinia grafologa. Nie każdy ogarnia kwestię mieszkania tak sprawnie, jak obecny prezydent.

***

Patologiczne agencje pracy oszukujące i wyzyskujące cudzoziemców to niestety już na polskim rynku chleb powszedni. Ale Maciej Lisowski, były asystent społeczny wiceministra rolnictwa Lecha Kołakowskiego, przelicytował pospolitych przekręciarzy kreatywnością. Jak donosi Oko.press, zamiast wysyłać migrantów do roboty bez papierów i liczyć, że nikt ich nie zauważy, Lisowski założył Zakon Najświętszej Maryi Panny i wystawiał Kolumbijczykom zaświadczenia o statusie misjonarza. Ten zezwolenia na pracę mieć nie musi, a że misję prowadzi w sortowni paczek… Polska to przecież katolicki kraj.

A.S.

eprasa.pl 3303931078

Spod kardynalskiego kapelusza

Do siego roku!

Przełom starego i nowego roku to czas na podsumowania, ale też okazja do robienia planów na przyszłość, a nawet składania noworocznych postanowień. Tych ostatnich nikomu nie polecam, gdyż z własnego doświadczenia wiem, że nigdy nie wychodzą. Lenistwo zawsze zwycięża.

Ale do podsumowania kończącego się roku wszystkich zachęcam. Moje, robione „spod kardynalskiego kapelusza", z oczywistych względów musi dotyczyć Kościoła rzymskokatolickiego. Niewątpliwie kończący się rok już przeszedł do historii Kościoła; jak każdy, w którym dochodzi do śmierci lub abdykacji papieża i wyboru przez Kolegium Kardynalskie jego następcy. Zmarł papież Franciszek, Argentyńczyk pochodzący z rodziny włoskich emigrantów. Z woli kościelnych purpuratów głową Kościoła został – po raz pierwszy w historii – Amerykanin, 70-letni kardynał Robert Francis Prevost, który po swoim wyborze przyjął imię Leona XIV.

Walka za murami

Co najmniej od dwóch dekad za murami Watykanu trwa zacięta rywalizacja pomiędzy zwolennikami starych porządków, sięgających jeszcze, jakże długiego, pontyfikatu polskiego papieża Jana Pawła II a tymi, którzy chcą szybkich i radykalnych zmian. Tych ostatnich zwykło się nazywać reformatorami, liberałami, a nawet rewolucjonistami. Nic bardziej mylnego. Nie chodzi tu bowiem o żaden liberalizm czy rewolucyjne zmiany doktryny katolicyzmu, a jedynie o stworzenie w instytucjonalnym Kościele takiego systemu sprawowania władzy, aby skutecznie zwalczać nie tylko wszelkie nadużycia seksualne wobec najmłodszych członków Kościoła powszechnego, ale także cały system świadomego ukrywania kościelnych dewiantów przez hierarchię. I to na całym świecie. Czegoś, co przez długie lata było niemal normą w czasach panowania na tronie Piotrowym miłośnika wadowickich kremówek.

Kolejnym wizerunkowym problemem, przed którym staje współczesny Watykan, jest promowanie w kościelnej hierarchii nie tych duchownych, którzy na to zasługują (z racji ich dokonań, wykształcenia czy szczególnych kompetencji), ale tych, którzy są seksualnymi partnerami swoich protektorów. I to także jest moralnym garbem kościelnej centrali, noszonym przez tę instytucję od pokoleń, który bardzo urósł w czasie rządów naszego świętego rodaka. Bo zjawisko homoseksualizmu duchownych jest w Kościele tak stare jak on sam i nie chodzi tutaj o walkę z gejami w sutannach czy habitach, a jedynie o to, aby sam fakt bycia gejem lub kochankiem wpływowego hierarchy nie stawał się z automatu trampoliną w karierze. A właśnie z takim patologicznym zjawiskiem mamy od wieków do czynienia w instytucji, która tak ochoczo umoralnia innych, narzucając im, jak mają żyć, kogo kochać, z kim dzielić życie, a tych, którzy zasady te odrzucają i żyją inaczej, publicznie potępia, nazywając „zarazą".

Prevostowe wróżby

Podsumowując 2025 r., trudno ocenić, czym zakończy się rozpoczęty właśnie pontyfikat papieża zza oceanu. Wiele wskazuje na to, że w Kościele rzymskokatolickim wygrała ukochana przez hierarchów opcja świętego spokoju. Pierwsze miesiące panowania Leona XIV, którego poznałem, gdy jeszcze jako młody człowiek został prowincjałem augustianów w mojej archidiecezji (Chicago), są tego najlepszym dowodem. Nie rozliczył wtedy skutecznie dewiantów seksualnych. Nie zrobił tego także, gdy został biskupem w jednej z południowoamerykańskich diecezji. Czy zatem obecnie, jako głowa Kościoła, znajdzie w sobie siłę i motywację do ich osądzenia i sprawiedliwego ukarania?

Jeszcze mniej optymizmu jest we mnie, gdy patrzę („spod kardynalskiego kapelusza") na partykularny Kościół w Polsce. Mijający rok był przełomowy, bo wyjątkowo dużo stolic biskupich otrzymało nowych ordynariuszy. Ale czy te kościelne nominacje są równocześnie zapowiedzią zmian, jakich oczekują wierni i wszyscy pozostający formalnie poza Kościołem, ale którym nigdy nie była obojętna krzywda dzieci, ofiar seksualnych oprawców i ich wpływowych obrońców?

Wiara i naiwność

W wielu publikacjach odnajduję narrację, z którą zawsze trudno mi się zgodzić. Mówi ona, że w ostatnich latach do naszego episkopatu przychodzą ludzie stosunkowo młodzi, przedstawiciele nowego pokolenia duchowieństwa o zupełnie innej wrażliwości, także w kwestiach tak boleśnie odczuwanej przez polskie społeczeństwo kościelnej pedofilii. Mam wobec tej narracji dużo wątpliwości. Bo prawdą jest, że przechodzących na emerytury lub odwoływanych karnie przez Stolicę Apostolską biskupów zastępują nowi, najczęściej dużo młodsi, ale czy nie jest to jedynie zmiana na urzędzie?

Kościół katolicki i jego ziemscy urzędnicy są mistrzami w opowieściach o tym, że każdy grzesznik ma prawo do uzyskania rozgrzeszenia. Musi tylko wyznać swoje winy (oczywiście swojemu spowiednikowi, bywa, że współgrzesznikowi), okazać żal za swój moralny upadek i wynagrodzić krzywdy wyrządzone bliźnim. Czyż to nie piękny i jakże ewangeliczny przekaz? Problem polega tylko na tym, że dotyczy jedynie wiernych świeckich. Przesłanie to nie obowiązuje duchowieństwa. Bo co się dzieje, gdy te same przykazania złamie duchowny lub osoba życia konsekrowanego? Nie tylko ich nie wyznają, nie okazują publicznie żalu za grzechy, o zadośćuczynieniu bliźniemu nawet mowy być nie może. A jeszcze są często i skutecznie bronieni zarówno przez samą instytucję Kościoła, jak i przez swoich przełożonych.

Pokuta na koszt wiernych

Tym wszystkim, którzy w tym momencie uznali, że przesadzam, przypominam, że niemal każdy upadły moralnie ksiądz – jeżeli nie jest za swoje przestępstwa skazany przez sąd świecki – zostaje umieszczony w specjalnym domu, oficjalnie nazywanym spokojnej starości dla księży. Odwołani lub przymusowo emerytowani biskupi otrzymują do swojej dyspozycji komfortowe rezydencje, pełne utrzymanie na koszt diecezji, w tym opłaconą służbę i wyżywienie oraz dwie emerytury. Tę kościelną wypłacaną przez diecezję i tę, z Zakładu Ubezpieczeń Społecznych. Nieśmiało zwracam tutaj uwagę, że pisząc, iż diecezja opłaca im utrzymanie, mam na myśli, że właściwie płacą za to wierni. A „świeckie" składki emerytalne opłacaliśmy duchownym wszyscy z naszych podatków, które trafiały do ZUS za pośrednictwem Funduszu Kościelnego. Tę ostatnią uwagę dedykuję tym publicystom piszącym o polskim Kościele, którzy z taką satysfakcją odnotowują listy odwołanych lub przeniesionych na przymusową emeryturę biskupów czy księży.

To moje podsumowanie nie napawa nadmiernym optymizmem, ale mimo to pozwolę sobie na trochę nadziei i złożenie wszystkim Czytelnikom mojego cyklu serdecznych życzeń. Poza tymi tradycyjnymi – zdrowia, radości, miłości bliskich i przyjaźni ludzi – życzę Państwu również, byśmy wszyscy mądrze obserwowali świat, który nas otacza, dokonywali dojrzałych wyborów i eliminowali z życia publicznego wszystkich odpowiedzialnych za zło, którego nie akceptujemy, lecz którego skutki odczuwamy.

Do siego roku, Kochani!!!

Andrzej Gerlach

Horror u elżbietanek

Trzy opiekunki z DPS we Wschowie, w tym zakonnica, usłyszały prokuratorskie zarzuty. Wśród nich: psychiczne i fizyczne znęcanie się nad niepełnosprawnymi podopiecznymi.

Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili" (Mt 25,40) – Słowo rozważane i wdrażane w życie przez Patronkę Zgromadzenia – św. Elżbietę oraz nasze Matki Założycielki, staje się dzisiaj rzeczywistością naszej posługi…" – czytamy na stronie internetowej Zgromadzenia, które prowadzi w Polsce kilkanaście placówek całodobowej opieki. Wśród nich jest Dom Pomocy Społecznej (DPS) we Wschowie (województwo lubuskie), gdzie zakonnice opiekowały się 60 dzieci i dorosłych o znacznym stopniu niepełnosprawności. Jak to wyglądało w praktyce, ujawniła Prokuratura Okręgowa (PO) w Zielonej Górze.

„W ramach toczącego się śledztwa przeprowadzono czynności procesowe z udziałem trzech kobiet, które miały związek z nieprawidłową opieką nad podopiecznymi placówki. Jednej z podejrzanych przedstawiono zarzut fizycznego i psychicznego znęcania się nad wychowankami nieporadnymi ze względu na wiek oraz upośledzenie umysłowe, tj. czyn z art. 207 par. 1a kk Dwóm pozostałym kobietom zarzucono zmuszenia podopiecznego do określonego działania, tj. czyn z art. 191 par. 1 kk" – informuje rzeczniczka zielonogórskiej prokuratury Ewa Antonowicz.

Według śledczych, sprawa jest rozwojowa. Ze względu na dobro wychowanków prokuratura nie ujawnia szczegółów postępowania. Zgodnie z kodeksem karnym, za znęcanie się nad osobą nieporadną może grozić nawet 8 lat więzienia. Natomiast za zmuszanie do określonego działania do 3 lat pozbawienia wolności.

Katarzyna Wilk-Wojtczak

eprasa.pl 3303931078

WIARA CZYNI CZUDA

Francja: młodzi radykałowie

120 lat po przyjęciu ustawy o oddzieleniu kościołów od państwa – stanowiącej jeden z filarów Republiki Francuskiej – wśród młodzieży spada poparcie dla laickości.

Jak wynika z sondażu ośrodka IFOP, przeprowadzonego dla Fundacji im. Jeana Jauresa, zasadę świeckości państwa popiera 65 proc. obywateli. W 1989 r. było to 61 proc. Akceptacja laickiego charakteru państwa spadła jednak wśród młodzieży. W grupie wiekowej 18-24 lata wynosi już tylko 58 proc. podczas gdy w 1989 r. było to 71 proc. To część proreligijnego trendu. Pod koniec 2025 r. IFOP opublikował dane dotyczące ewolucji praktyk religijnych wśród muzułmanów. Wynikało z niego, że najszybciej radykalizuje się tam właśnie młodzież. 57 proc. badanych w wieku 15-24 lata uważa, że przestrzeganie zasad islamu jest ważniejsze od dostosowywania się do francuskiego ustawodawstwa.

Armenia: arcybiskup aresztowany

Arcybiskup Armenii Arshak Khachatryan został aresztowany pod zarzutem udziału w prowokacjach wobec uczestników protestów z 2018 r.

Według śledczych, hierarcha miał być zaangażowany w podkładanie narkotyków osobom demonstrującym przeciwko zwierzchnikowi Apostolskiego Kościoła Ormiańskiego Catholicosowi Karekinowi II. Protesty sprzed kilku lat były częścią szerszego sprzeciwu wobec kierownictwa Kościoła i jego relacji z władzą polityczną. Zatrzymanie arcybiskupa wywołało duże poruszenie w Armenii i ponownie skierowało uwagę opinii publicznej na niewyjaśnione dotąd nadużycia z okresu społecznych napięć. Sprawa jest w toku. Kościół nie przedstawił jeszcze oficjalnego stanowiska w tej sprawie.

Włochy: „dziewczynka Jezus"

Włoski ksiądz wezwał przed świętami do umieszczenia figurki „dziewczynki Jezus" w bożonarodzeniowej szopce.

Ksiądz Vitaliano Della Sala z parafii św. Piotra i Pawła w Capocastello tuż przed świętami w wywiadzie dla lokalnej telewizji stwierdził, że w żłóbku należałoby umieścić figurkę przedstawiającą Jezusa jako dziewczynkę. Jego zdaniem, byłoby to symboliczne „prowokowanie do debaty" nad rolą kobiet w Kościele, dopuszczeniem ich do diakonatu, kapłaństwa, a nawet urzędów biskupich. Duchowny nie zdążył nawet kiwnąć palcem, gdy ulubione media katolickiej konserwy ogłosiły profanację i że „lewicowa ideologia przejmuje władzę nad kościołami". Przywołały list apostolski *Ordinatio sacerdotalis*, w którym JPII zaznaczał, że święcenia kapłańskie kobiet nie są możliwe. Ze zgrozą wspominały też szopkę z 2023 r., w której Della Sala ustawił dwie matki dzieciątka Jezus. Symbolizowało to „dzieci z nowych typów rodzin".

Kanada: Watykan oddaje łupy

Po trzech latach negocjacji Watykan oddał rdzennym mieszkańcom Kanady skradzione dobra kulturowe.

Przedstawiciele Pierwszych Narodów, Inuitów i Metysów podczas ceremonii religijnych na międzynarodowym lotnisku w Montrealu odebrali 62 artefakty, zrabowane przez katolickich misjonarzy w latach 1923-1925. Duchowni wywieźli je na wystawę misyjną w Roku Świętym 1925, po zakończeniu której ważne dla tożsamości narodowej Indian przedmioty już do nich nie wróciły. „To kolejny krok w kierunku odzyskania naszego dziedzictwa kulturowego. Ale to nie jest ostatni krok. Nie spoczniemy, dopóki nie odzyskamy całego naszego mienia" – zapowiedziała Cindy Woodhouse Nepinak, liderka jednego z ruchów rdzennych Indian. To kolejny element kościelnej „pokuty", którą rozpoczął papież Franciszek, za zbrodnie popełnione przez duchownych na indiańskich dzieciach. W tzw. szkołach rezydencjalnych, funkcjonujących od XIX do końca XX w., 150 tys. dzieci było siłą oddzielanych od rodzin i umieszczanych w państwowo-kościelnych szkołach. Część z nich zaginęła.

fot. X / Screenshot

Hiszpania: ponętne rzęsy Maryi

Artyści zabrali się do renowacji figury Matki Boskiej – Macareny z Sewilli. W efekcie trzeba było przeprowadzić ją ponownie.

Trzynaście lat po niezapomnianym odrestaurowaniu fresku „Ecce Homo" w Borja, które upodobniło Jezusa do kosmity, renowacji poddano płaczącą figurę Matki Boskiej zwaną Macareną. Posąg uznawany jest za cudowny. Zapewne dlatego prowadzący prace prof. Arquillo Torres chciał wykonać je jak najlepiej. Niestety, po odnowieniu figura Matki Boskiej wyglądała zaskakująco… nowocześnie. Niektórzy wierni twierdzili, że odnieśli wrażenie, że przeszła operację plastyczną. Największe emocje wzbudziły rzęsy, przypominające sztuczne doczepy. Mocny makijaż również im się nie spodobał. Figura musiała być przerobiona jeszcze raz. Sprawą zajął się Andaluzyjski Instytut Dziedzictwa Historycznego, który stwierdził, że Arquillo przekroczył swoje uprawnienia, za bardzo ingerując w rzeźbę, zmieniając Maryi powieki. Po kolejnej przeróbce posąg wrócił na miejsce.

W. Brytania: skarga na „papieżycę"

Kościół Anglii bada oficjalną skargę przeciwko Dame Sarah Mullally, arcybiskupce Canterbury. Chodzi o niewłaściwe postępowania przy zgłoszeniu nadużyć księdza.

Skarga została złożona w 2020 r, jednak przez lata nie była rozpatrywana z powodu uchybień proceduralnych w obowiązującym wówczas systemie. Zarzuty odnoszą się do sposobu, w jaki Mullally – pełniąca wówczas funkcję biskupią – miała zareagować na zgłoszenie dotyczące księdza oskarżanego o nadużycia seksualne. Po zmianach w przepisach i interpretacji zasad, możliwe jest ponowne przeanalizowanie zgromadzonych materiałów. Sprawa budzi duże zainteresowanie opinii publicznej, zwłaszcza w kontekście rosnącej presji na Kościół Anglii, by skuteczniej i bardziej transparentnie reagował na przypadki przemocy i nadużyć.

USA: niemiłosierni katolicy

Amerykańscy katolicy są za karą śmierci, deportacjami i Trumpem – dowodzi najnowsze badanie przeprowadzone przez telewizję EWTN i firmę Real Clear.

Większość wierzących Amerykanów opowiada się za zdecydowanymi działaniami prezydenta wobec bezprawnie przebywających w kraju cudzoziemców. 54 proc. respondentów stwierdziło, że popiera „aresztowania i deportację nielegalnych migrantów na szeroką skalę". Tylko 30 proc. uczestników badania ma przeciwne stanowisko, a 7 proc. pozostaje niezdecydowanych. Co ciekawe, poparcie deportacji jest wyższe wśród katolików regularnie uczestniczących w niedzielnej mszy (58 proc.). W badaniu pytano wiernych również o ich stosunek do Donalda Trumpa. Pozytywnie ocenia go aż 52 proc. katolików. Według badania, większość z nich opowiada się również za karą śmierci – 55 proc. Jedynie 20 proc. wierzących uznało, że jest ona niedopuszczalna. 25 proc. respondentów nie miało pewności.

Brazylia: topmodelka w habicie

Katolickie media na całym świecie oszalały na punkcie brazylijskiej zakonnicy, która dla habitu porzuciła modeling.

Zanim Kamila Rodrigues Cardoso – obecnie siostra Ewa – z miasta Patos de Minas wstąpiła do zakonu, była topmodelką i miss nastolatek, wygrała m.in. konkurs „Miss Kontynentu – Wschodzące Słońce". Międzynarodowa kariera stała przed nią otworem. Po śmierci ojca dziewczyna miała jednak przeżyć głębokie nawrócenie i wstąpiła do katolickiego Zgromadzenia św. Bożej Rodzicielki. W wieku 18 lat złożyła pierwsze śluby, a później śluby wieczyste. Dziś siostra Ewa zamiast brylować w blasku fleszy i podróżować po całym świecie, sprzedaje różańce w przydrożnych barach. Tak wspiera swoją wspólnotę i ewangelizuje. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. W imię wiary, wzorem średniowiecznych ascetów mogła np. 20 lat siedzieć na słupie.

Stronę redaguje Wanda Kwiecień

eprasa.pl 3303931078

POLETKO PANA B.©

U PAPIEŻA

Śmietanka polityków PiS wzięła udział w spotkaniu frakcji Europejskich Konserwatystów i Reformatorów w Rzymie 9-12 grudnia, a być w Rzymie i papieża nie widzieć, to obciach. Na zdjęciach z audiencji u papieża Leona XIV oglądamy więc takie tuzy, jak Patryk Jaki, Adam Bielan (wciąż w kręgu podejrzeń dotyczących afery NCBiR), Piotr Müller, Arkadiusz Mularczyk, Joachim Brudziński. Gdy walka frakcji w PiS przybiera na sile, warto pochwalić się „papieskim wsparciem". Do Watykanu podążyła też delegacja polskiego episkopatu z abp. Wojdą na czele, by zapewnić Papę, że obiecana wiernym „niezależna komisja historyczna", która ma zbadać nadużycia seksualne kleru, powstanie już wkrótce. Czy biskupi przyznali się, że od dwóch lat blokują jej powołanie? Tradycyjnie powtórzyli zaproszenie Leona XIV do Polski, w imieniu własnym oraz prezydenta Nawrockiego. I jak zwykle nie raczyli zapytać, co na to rząd, który musiałby dołożyć górę kasy do tej imprezy.

ZWIĄZEK NA PRÓBĘ

MON pod wodzą pobożnego „Tygryska" znowu walczy z ustawą o związkach partnerskich, w nowej wersji – o statusie osoby najbliższej. Najpierw PSL nie zgodziło się na związki partnerskie, bo rzekomo mogą one otworzyć bramę do nadużyć finansowych (a małżeństwa nie mogą?). Potem okrojono projekt do ochłapu (umowa zawierana u notariusza, bez możliwości przyjęcia wspólnego nazwiska, ani słowa o adopcji czy nawet „małej pieczy", więc „osoba najbliższa" nie będzie mogła iść z dzieckiem partnera do lekarza lub wyrazić zgody na szkolną wycieczkę). Teraz spece od obrony narodowej wymyślili w pocie czoła roczny okres próbny dla par gorszego sortu! Jak napisał sekretarz stanu w MON Paweł Bejda, resort postuluje, „aby osoby zawierające umowę nabywały wszelkie uprawnienia (…) po upływie roku od dnia jej zawarcia". Latają nad nami ruskie drony, a MON znajduje czas i energię, by torpedować kompromis wypracowany w długich negocjacjach Urszuli Pasławskiej z PSL i Katarzyny Kotuli z Lewicy. Post z forum Gazety.pl: „Niech może Tygrysek swoje przyszłe kościelne małżeństwa obejmuje okresem próbnym. Bo na razie to on miał problem z nierozerwalnością związku, i to takiego podobno dożywotniego".

ZNIKAJĄCY PUNKT

Szanowany prałat nagle zniknął. Z ogłoszenia na niedzielnej mszy wierni dowiedzieli się, że proboszcz parafii św. Antoniego w Pieszycach, woj. dolnośląskie, ks. prałat Edward Dzik przechodzi w stan spoczynku. Tak nagle, bez oficjalnego pożegnania? Mnożyły się domysły, czy przeszedł na emeryturę w „kanonicznym" wieku 75 lat, czy ktoś go wygryzł ze stanowiska; krążyły nawet plotki o aresztowaniu. Sam prałat ogłosił na Facebooku, że „czuje ciężar zarzutów", choć są „bezpodstawne i nieprawdziwe". Tymczasem biskup świdnicki Marek Mendyk wezwał do kurii wikarego i członków rady parafialnej, by im oznajmić, że ks. Dzik nie został odwołany, lecz sam złożył rezygnację. Niestety, w jego sprawie rozpoczęło się dochodzenie kanoniczne po informacjach, które dotarły do delegata ds. ochrony dzieci i młodzieży oraz dorosłych osób bezradnych. Za parę lat Kościół ujawni wyniki dochodzenia i parafianie w Pieszycach dowiedzą się, co było grane.

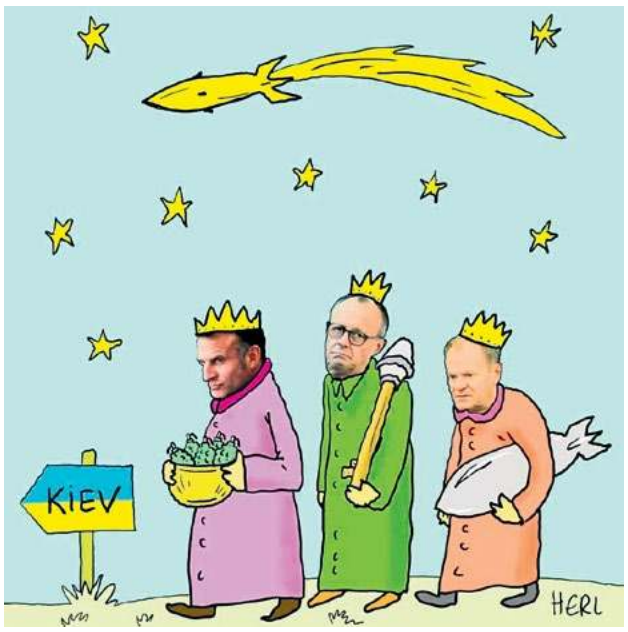

RÓWNIA POCHYŁA

Ukazał się nowy Rocznik Statystyczny Kościoła Katolickiego w Polsce. Ważnych w tej statystyce *dominicantes*, czyli uczestniczących w niedzielnej mszy, odrobinę przybyło: w roku 2024 było to 29,6 proc. wiernych (rok wcześniej 29,2 proc.). Wskaźnik *communicantes*, przyjmujących komunię, też minimalnie wzrósł – z 14 proc. w roku 2023 do 14,6 proc. w 2024. Największą frekwencję na mszy ma diecezja tarnowska: 62,3 proc. wiernych. Najgorzej pod tym względem wypadła diecezja szczecińsko-kamieńska (17,59 proc.). Natomiast w innych kategoriach Kościół coraz szybciej zjeżdża po równi pochyłej. „Trzyma się" jeszcze pierwsza komunia: w 2024 r. przystąpiło do niej prawie 320 tys. dzieci, ale wybierzmowano tylko niecałych 213 tys. (spadek o 27,6 punktu procentowego), a ponieważ bierzmowane są na ogół 14-15-latki, to znaczy, że już w podstawówce 107 tys. owieczek uciekło ze stada. Ślubów kościelnych zawarto 68,3 tys. (spadek o 11,6 p. proc.), chrztów było 247,2 tys. (spadek o 7,5 p. proc.). Gdzie nie spojrzeć, tam się rwie.

PIĘKNY GŁOS ORGANISTY

Czego może zabronić wiernym diecezja kielecka, poza tym, czego Kościół zazwyczaj zabrania? Komunikat na stronie diecezji rozpoczyna się od słów: „Zabrania się kategorycznie korzystania z…". Zgadujcie – z wibratorów? Z agencji towarzyskich? Z profilów „antypolskich" partii? Pudło. Prawidłowej odpowiedzi nikt nie odgadnie, gdyż rządzona przez bp. Jana Piotrowskiego diecezja wykombinowała coś niecodziennego: „Zabrania się kategorycznie korzystania z tzw. automatycznego organisty". Czym jest ten nowy postrach Kościoła? W internecie mnożą się reklamy: „Urządzenie to służy do pomocy w śpiewie podczas nabożeństw. Może nim sterować dowolna osoba, np. ministrant. Dźwięk organów pochodzi z prawdziwego instrumentu piszczałkowego, przez co wiernie oddaje rzeczywiste organy. W tle słychać piękny głos organisty prowadzącego śpiew". To przecież marzenie wielu księży – pozyskać organistę, który nie fałszuje, nie spóźnia się, nie pije, nie chce podwyżki. I tylko Kielce postawiły na żywego człowieka.

WIGILIA BEZ OBCIACHU

Wizyta w SPA i burgery zamiast opłatka i kolęd. Nowe oblicze szkolnych wigilii" – zachęca tytuł w „Gazecie Wyborczej". Rzeczywiście, łamanie się opłatkiem, śpiewanie kolęd czy jasełka wykluczają niekatolickich uczniów i krępują tych wierzących, którzy nie chcą nikogo wykluczać. Młodzież jest jednak kreatywna i chce się integrować, dlatego szkolne wigilie organizuje w SPA, pizzerii lub na turnieju siatkówki. Uczniowie Zespołu Szkół Technicznych i Ogólnokształcących nr 2 w Katowicach tegoroczną wigilię wyprawili sobie w Zakopanem, w restauracji Po Widoki na Gubałówce. „Tak świętować to ja rozumiem! W podstawówce, niestety, było inaczej. Wychowawczyni, która była bardzo religijna, nie wyobrażała sobie klasowej wigilii bez łamania się opłatkiem. Zapraszała też księdza, który uczył religii, żeby przeczytał fragment Biblii i poprowadził modlitwę. Dla nas to był obciach, zwłaszcza że w starszych klasach coraz więcej osób nie chodziło na religię" – mówi drugoklasista z ZSTiO. Wigilia jako czysta rozrywka? Dlaczego nie?

KONTO KSIĘDZA WIKARIUSZA

Kiedy wyjeżdżał na misję, żegnał go biskup kielecki Jan Piotrowski, nazywając go „wielkim kapłanem". Po powrocie szybko dostał własną parafię. Był jednym z ulubieńców ordynariusza, aż w lipcu ub.r. został nagle urlopowany. „Gazeta Wyborcza" informuje, że ks. Robert (imię zmienione) stał się obiektem zainteresowana kieleckiej prokuratury. Śledztwo jest prowadzone pod kątem artykułu 200a par. 1 kk. Chodzi o zawiadomienie od kobiety, która na stałe mieszka w Niemczech. Dekadę wcześniej – gdy była uczennicą księdza w kieleckim gimnazjum – miał on wysyłać jej niestosowne wiadomości. Już wcześniej do kurii miało wpłynąć podobne zgłoszenie, dotyczące innej nastolatki. Duchowny zaprzecza oskarżeniom. „Owszem, były dowcipy, jakieś głupie żarty na tle seksualnym, że *jest seksi,* ale tylko tyle" – tłumaczy ksiądz i dodaje, że jego konto mogło być wtedy zhakowane… przez jakiegoś nastolatka. **(KWW)**

Stronę redaguje **Dorota Wróblewska**

eprasa.pl 3303931078

Prawosławnym Czytelnikom na ich Gwiazdkę

Cichy jubileusz

Stulecie istnienia Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego miało być okazją do dumy, podsumowań i pokazania, że prawosławie w Polsce wciąż jest żywą, ważną częścią religijnego i społecznego pejzażu. Wyszło jak zwykle. A nawet gorzej.

Symbolem jubileuszu, bardziej wymownym niż jakiekolwiek okolicznościowe kazania, stała się Góra Grabarka podczas święta Przemienienia Pańskiego (19 sierpnia 2025 r.). To jest miejsce „najświętsze dla polskiego prawosławia", „duchowe serce Cerkwi", a zarazem wydarzenie, które przez dekady przyciągało najwyższych przedstawicieli władz państwowych. Tym razem nie przyciągnęło nikogo naprawdę ważnego. Ani prezydenta RP, ani przedstawiciela rządu. Była natomiast, jak zawsze, władza lokalna oraz służby mundurowe w różnych kolorach.

Puste krzesła

I nie była to „zwykła nieobecność". To był precedens. Wcześniej tak po prostu się nie zdarzało. Nawet w czasach, gdy relacje państwo – Cerkiew bywały chłodne, protokół, symbolika i elementarny szacunek były zachowane. W 2025 r. zabrakło nawet tego. Jeśli ktoś szuka dowodu na zmniejszającą się rangę polskiej Cerkwi, to nie musi daleko szukać. Wystarczyło bowiem spojrzeć na pierwsze rzędy krzeseł wokół ołtarza polowego na Grabarce.

Ale byłoby niesprawiedliwie zrzucać winę wyłącznie na „zewnętrzne okoliczności". Polska Cerkiew z godną podziwu konsekwencją od lat pracuje na swoją marginalizację. Zarządzana jest bowiem przez metropolitę Sawę, czyli hierarchę coraz starszego, coraz bardziej oderwanego od rzeczywistości i coraz wyraźniej nierozumiejącego współczesnego świata. Styl rządzenia Kościołem przypomina raczej późny PRL niż XXI w.: brak przejrzystości, brak dialogu i obsesyjna kontrola.

Strach kadr

Kadrowa polityka w polskiej Cerkwi to dzisiaj coś pomiędzy ruletką a karuzelą. Duchowni krążą po parafiach coraz szybciej, nikt nie wie, kiedy i dlaczego zostanie przeniesiony, a pytanie „dokąd?" często jest retoryczne. Można służyć w dużym mieście, jutro w miejscu, o którym nie śniło się nawet geografom. Kryteria? Tajemnica. Uzasadnienie? Brak. Atmosfera? Strach i niepewność. Trudno się dziwić, że młodzi nie garną się do kapłaństwa.

Bo młodych duchownych w polskiej Cerkwi jest dziś jak na lekarstwo. A skoro o lekarstwie mowa, to pacjent wygląda coraz gorzej. Wystarczy spojrzeć na Policealne Studium Ikonograficzne w Bielsku Podlaskim, o skandalu pisaliśmy już dwukrotnie („FpM" nr 47 i 50/25). Instytucję ważną, symboliczną, mającą kształcić przyszłe kadry artystyczne Cerkwi. Jak się dowiedzieliśmy ostatnio, do momentu zamknięcia tej szkoły w 2025 r. był tam… jeden student. Jeden. W kraju, w którym prawosławie lubi opowiadać bajki o swojej tradycji, wyjątkowej duchowości i głębi.

Ślepy tor

Stulecie autokefalii nie przyniosło więc triumfu, lecz gorzką konstatację: polska Cerkiew znalazła się na bocznym torze, i to nie dlatego, że ktoś ją tam zepchnął, ale dlatego, że sama tam wjechała. Brak wizji, brak odwagi, brak otwarcia na młodych i świat poza murami kurii. Natomiast nadmiar hierarchicznej pychy i przekonanie, że „jakoś to będzie".

Otóż nie będzie. A jeśli dalej będzie tak jak jest, to kolejne jubileusze mogą już nikogo nie zainteresować. Nawet wiernych. I niech się zatem dzieje wola nieba, z nią się zawsze zgadzać trzeba – jak rzekł był kiedyś komediopisarz Aleksander Fredro.

Wesołych Świąt!

Wacław Jerzy Koniecpolski

Wojna muzeum z prawem

Gdyby Podlaskie Muzeum Kultury Ludowej w Wasilkowie chciało uczciwie opowiedzieć swoją najnowszą historię, wystarczyłaby jedna tablica: „Tu cztery razy przegraliśmy w sądzie. Zapłacili podatnicy".

Bo to nie jest historia sporu prawnego. To historia polityczno-instytucjonalnego uporu, który w czasach rządów PiS w urzędzie marszałkowskim w Białymstoku przerodził się w kosztowną obsesję.

Ludowy upór

Zaczęło się od próby wyegzekwowania od Przemysława Płoweckiego, twórcy kompletnej dokumentacji projektowo-kosztorysowej budowy „Karczmy" na terenie muzeum, kary umownej w wysokości 4 800 zł. Kwoty symbolicznej, ale ambicjonalnie ważnej. Bo wykonawca ośmielił się nie zmieścić w terminach wyśrubowanych do granic absurdu i administracyjnej fikcji. Sprawa trafiła do sądu. Ten w październiku 2022 r. jasno stwierdził, że kara się nie należy i muzeum powinno pokryć koszty procesu. To był moment, kiedy każda racjonalnie zarządzana instytucja powiedziałaby „stop". Ale racjonalność nie była wówczas w modzie. Muzeum, działające pod politycznym parasolem pisowskiego zarządu województwa, złożyło apelację. Przegrało ją w grudniu 2023 r., dokładając do procesu kolejne publiczne pieniądze.

W styczniu 2024 r. role się odwróciły. Tym razem to muzeum zostało pozwane i wtedy okazało się, że wcześniejsza wojna o kilka tysięcy złotych była jedynie rozgrzewką. Sąd zasądził na rzecz projektanta 60 tys. zł należności głównej, wieloletnie odsetki liczone od początku 2021 r. oraz koszty procesu. Mimo to muzeum, wciąż konsekwentnie realizując linię przyjętą w czasach rządów PiS w urzędzie marszałkowskim, złożyło drugą apelację. I przegrało ją jesienią 2025 r., generując kolejne koszty.

fot. Wikipedia

Kultura i odpowiedzialność

Pieniądze zostały ostatecznie wypłacone. Przelewu dokonało muzeum już w nowej rzeczywistości politycznej i podległe marszałkowi z Koalicji Obywatelskiej. Ale nie miejmy złudzeń: obecne władze jedynie posprzątały rachunek wystawiony przez swoich poprzedników. Decyzje, które doprowadziły do eskalacji konfliktu, zapadały, gdy województwem rządziło PiS i to na tym etapie należało ten spór zakończyć.

W Polsce obywatel musi respektować orzeczenia sądów natychmiast. Instytucja publiczna może latami z nimi walczyć, apelować, przegrywać i płacić cudzymi pieniędzmi, nie ponosząc żadnych konsekwencji. Zwłaszcza jeśli działa w politycznym przekonaniu, że „jakoś to będzie".

Muzeum kultury ludowej uczy o dawnych obyczajach. Szkoda, że samo tak gorliwie praktykowało jeden z najbardziej patologicznych obyczajów III RP: polityczną nieodpowiedzialność za publiczne pieniądze. „Kto, i czy w ogóle ktoś odpowie za decyzje podjęte w czasach rządów PiS w Urzędzie Marszałkowskim w Białymstoku?" – to jedyne rozsądne pytanie w tej historii. Nam do głowy przychodzi tylko jedno nazwisko: Ancipiuk Katarzyna. To wieloletnia radna PiS w Radzie Miasta Białystok, powołana na dyrektorkę muzeum jeszcze w 2022 r. i pozostająca na stołku po dziś dzień.

WJK

Kolejny fejk o Żydach

Wojciech Sumliński, prawacki publicysta i rewizjonista historyczny, oskarżył niedawno Żydów o chęć usunięcia krzyży przy drodze do Treblinki.

Okazało się to totalną bzdurą, ale Sumliński dalej wie swoje. Treblinka, gdzie znajduje się były hitlerowski obóz zagłady, leży na terenie diecezji drohiczyńskiej. Ona więc ma mieć jakąś moc sprawczą w sprawie krzyży mogących rzucić się w oczy tych, którzy zapragną odwiedzić miejsce kaźni ok. 800 tys. ludzi, z których ok. 95 proc. było pochodzenia żydowskiego. Chodzi nie tylko o krzyże przy drogach wiodących do obozu, ale nawet te w oddali.

Sumliński utrzymuje, że miłośnicy macy napisali epistołę z takim właśnie żądaniem do biskupa Piotra Sawczuka (ordynariusza diecezji drohiczyńskiej) i do Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Zarówno kuria, jak i ministerstwo zaprzeczyły tym rewelacjom. Kuria była bardziej wstrzemięźliwa, jeśli chodzi o mitomana. Widać to w wypowiedzi ks. Marcina Gołębiewskiego, rzecznika diecezji drohiczyńskiej, dla Radia Wnet. „Poprosiłem, by tę informację sprostował, bo ona wprowadza czytelników w błąd. Nawet jeśli cel jest szczytny, podstawą działań nie mogą być nieprawdziwe informacje" – twierdzi kurialny rzecznik. Bo po tym, jak Sumliński upublicznił swój fejk, kuria była bombardowana telefonami z mniej lub bardziej zawoalowanymi deklaracjami uczestniczenia w potencjalnych pogromach.

Biskupowi Sawczukowi współczujemy owiec.

WJK

eprasa.pl 3303931078

Noworoczne miau-miau i hau-hau?

Mam dość świąt! Konsumpcji i czarnych piątków, weekendów, szaleństwa wyprzedaży.

Człowiek musi się w coś ubrać, coś zjeść, gdzieś mieszkać. Ale kolejny plastikowy potworek i zalewająca sklepy w ramach bożonarodzeniowej ekscytacji zabaweczka „durnostojka" to już ekobójstwo. Rocznie świat produkuje 2,1-2,2 mld ton śmieci, z czego Unia Europejska ok. 228 mln ton. Polska też ma w tej liczbie udział – ok. 14,2 mln ton, co oznacza, że statystycznie każdy z nas dorzuca się do globalnego armagedonu w wymiarze ok. 400 kg. Równie wydajni jesteśmy w produkcji plastiku. Na tym polu nasze osiągnięcia to 400 mln ton plastikowych odpadów. Wedle raportów ONZ, tylko 9-10 proc. tego ogromu plastikowego zanieczyszczenia trafia do recyklingu.

Ponoć słowo „człowiek" brzmi dumnie. Ale jako szczytowe osiągnięcie boskiej myśli antropologicznej powinien być skromny: główka w dół i rączki złożone do modlitwy. Jak narozrabia, nie musi się martwić, bo bozia dała mu swojego synka, żeby odkupił jego nieprawości. Dlatego raz do roku świat katolicki staje na głowie, je, pije i kupuje miliardy niepotrzebnych rzeczy, bo… bóg ma urodziny. Precyzyjniej zaś określając, skoro dziecko ubogich emigrantów urodziło się na sianie w stajence, to my teraz musimy wydać całą pensję, by kupić świecidełka i tony prezentów.

Marketing nowej religii

To szaleństwo ma podstawy w marketingu związanym z budowaniem wiary. Zgodnie z opisami ewangelii, Jezus nie mógł urodzić się zimą („FpM" 51-52/25), ale akurat tak się stało, że 25 grudnia w Rzymie świętowano urodziny słońca niezwyciężonego (Natalis Solis Invicti). Tak samo Mitra (bóstwo mitologii indoirańskiej – przyp. red.) miał urodzić się 25 grudnia.

Słowianie mniej więcej w tym czasie obchodzili Szczodre Gody, czyli zwycięstwo boga słońca (Swarożyca lub Dadźboga) nad ciemnością. Do tego koniecznie potrzebny był Diduch, czyli postawiony w kącie izby pierwszy snop żyta (prototyp choinki), który miał zapewniać urodzaj. Mało tego! Słowianie mieli wigilię tego święta, czyli Szczodry Wieczór z ucztą, podczas której na stole stawiano dodatkowe nakrycie dla dusz przodków, które w tym magicznym czasie miały odwiedzać żywych. Widać nie byli hipokrytami i nie udawali, że jakby co, to przyjmą uchodźcę czy strudzonego wędrowca. Na tym nie koniec. W słowiańskim święcie byli i przebierańcy chodzący od domu do domu, śpiewający pieśni o odradzającym się słońcu. Z kolei Germanie i Skandynawowie mieli w tym czasie Jule (Yule), trwające 12 dni święto, podczas którego palono wielkie polano, które miało symbolizować powrót światła. W tym czasie domostwa dekorowano jemiołą, ostrokrzewem i świerkiem, co symbolizowało życie trwające mimo mrozu.

Kradnę!

Skoro zatem chrześcijanom tak dobrze poszła kradzież cudzych dat, symboliki i zwyczajów, dlaczego my, ateiści, nie mamy robić tego samego? W końcu bardzo miło jest nic nie robić bez powodu. A w zasadzie do tego sprowadza się cały ten koncept. Choć święta bożego narodzenia mamy już za sobą, chwilę po nich proponuję inne, na 2026 r. Swoją drogą, mam dylemat: czy raz już skradzione święta można jeszcze raz podkraść? Zostawmy jednak na boku dylematy, co kto komu ukradł, a zastanówmy się nad poszczególnymi elementami. Choinka w naszych czasach jest zła. Ta żywa, wycinana oznacza, że najpierw rujnowano pole, by uprawiać na nim drzewka, żeby je później dla zabawy ściąć. Te w doniczkach się nie przyjmą, bo drzewa w doniczkach nie rosną. Plastikowe, sztuczne zaśmiecają świat. Więc jak bardzo chcemy choinkę, to będzie można ustawić sobie drzewko w komputerze. Wigilijne i świąteczne potrawy, jak kto chce – niech rządzi smak. Mięsojedzącym proponuję eksperyment: może coś wegańskiego? W końcu święta te mają symbolikę odrodzenia życia, więc po co mordować? Jeżeli chodzi o prezenty, proponuję zamiast kolejnych skarpetek, gadżetów i ciuszków karmę dla zwierząt ze schroniska lub wpłatę na organizację pomagającą zwierzętom.

Sorty bożych dzieci

Dlaczego właśnie na zwierzaki? Chrześcijaństwo ugruntowało w nas model hierarchiczny, gdzie zwierzę – „istota bez duszy" – stało się ludzkim niewolnikiem. A skoro podkradamy mu święta, proponuję w ramach prezentów obdarować te istoty, które najbardziej cierpią. We właśnie minione podarowałyśmy sobie z moją mamą wpłaty na fundację „Przyjaciele Konia Petrusa". Uwierzcie: takie podarunki działają! Ostatnio do tej fundacji trafiły kolejne psy z frontu wojny rosyjsko-ukraińskiej. Wyczerpane, ranne, przerażone. Jedna sunia nie ma łapy i miała rozszarpany bok. Jakiś żołnierz wyciągnął ją z gruzów, lekarz opatrzył. Teraz w Krakowie dochodzi do siebie, niezwykle ufnie podchodząc do każdego człowieka; radośnie podskakuje na trzech łapach, gdy tylko ktoś chce ją pogłaskać. Oprócz psów z Ukrainy, w fundacji są jeszcze stare psiaki, które dla kogoś straciły przydatność do kochania, koty, które ktoś wyrzucił, bo spieszył się na zimowe wakacje oraz stary koń wykupiony z morderczego transportu do rzeźni. To wszystko ofiary nas, ludzi, naszego przekonania, że jesteśmy najważniejsi i doskonali.

Niech się odwróci los tych istot, które tak bardzo skrzywdziliśmy. Niech się odwróci znaczenie świąt: zamiast boga, niech się urodzi nasza empatia. Zawsze można coś zrobić: koło życia toczy się bardzo szybko, dobroć wraca – wie to każdy, kto adoptował psa czy kota.

Pamiętajcie też, że z okazywaniem dobroci nie trzeba czekać do kolejnych świąt… Więc wszystkiego najlepszego: miau, hau na nowy rok!

prof. Joanna Hańderek
Przyjacielepetrusa.eu

Boża renowacja

Renowacja przydrożnych krzyży w gminie Kornowac niedaleko Raciborza kosztowała 351 tys. zł.

Nieudane renowacje są głośniej omawiane niż te udane. Przekonaliśmy się o tym, gdy w 2012 r. 80-letnia amatorka Cecilia Giménez próbowała odrestaurować fresk z 1930 r. „Ecce Homo" w hiszpańskiej Saragossie. W efekcie Jezus nie wyglądał już jak „zbawiciel", a kosmita lub małpa. To dzieło stało się globalnym memem. Równie głośna była niedawna renowacja XVII-wiecznej figury Matki Boskiej – Macareny w Sewilli. Długie rzęsy, wyglądające jak doczepy, i ostrzejszy makijaż wywołały protesty oraz dymisje w bractwie opiekującym się figurą.

Jak się okazuje, w tej dziedzinie Polska może śmiało konkurować z Hiszpanią. W gminie Kornowac (woj. śląskie) odrestaurowanie piętnastu przydrożnych krzyży, liczących ok. 100-150 lat, trwało rok. Prace przeprowadziła, wyłoniona w ramach procedury przetargowej, prywatna firma z Raciborza. Zakres obejmował renowację krzyży wraz z wykonaniem utwardzenia terenu z kostki granitowej i zabudowę ozdobnych metalowych ogrodzeń. Wszystko powinno być dobrze, bo firma miała na swojej stronie referencje z różnych stowarzyszeń, fundacji i parafii. Całość kosztowała 351 tys. zł, z czego ponad 340 tys. zł gmina pozyskała z Rządowego Funduszu Odbudowy Zabytków.

„(…) Nie każdy potrafi sprawić, by XIX-wieczne świątki wyglądały jak bohaterowie współczesnych kreskówek, i to jedynie za 300 tysięcy złotych" – komentuje w mediach społecznościowych Damian Herbowicz, społeczny opiekun zabytków Krakowa i przewodniczący Komitetu Ochrony Zabytków i Dóbr Kultury. „Trzeba przyznać, że to dopiero jest sztuka: zabytek, który przetrwał 150 lat, nie złamał się pod ciężarem historii, ale pod warstwą farby już tak. A argument, że *większość figur była mocno zniszczona* faktycznie wyjaśnia wiele. Widać, że zniszczenia naprawiono konsekwentnie" – dodaje.

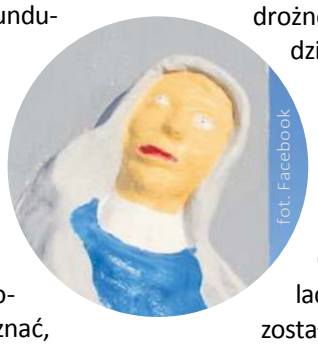
fot. Facebook

Władze gminy Kornowac, które zleciły prace, po obejrzeniu efektów nie miały zastrzeżeń. „Jeśli więc ktoś jeszcze zastanawia się, dlaczego środowisko konserwatorskie podkreśla, że renowacja to nie malowanie figurek i czasem lepiej sobie darować, to odpowiedź właśnie patrzy na nas szeroko otwartymi oczami z przydrożnej kapliczki. I wygląda, jakby chciała powiedzieć: *Mój Boże*" – komentuje D. Herbowicz.

To samo chciałaby wykrzyczeć płaskorzeźba Maryi z 1820 r., znajdująca się na froncie cokołu Krzyża Bożej Męki w Studzionce (woj. śląskie). Maria patrzy w górę, z dłońmi splecionymi w piersiach. Na krzyżu wisi Chrystus. Krzyż stoi na skraju szosy, przy polach, otoczony metalowym płotkiem. W 2024 r. został odnowiony za pomocą połyskliwej marketowej farby. O efektach tej renowacji pisały nawet zagraniczne media, takie jak „Daily Mail" czy „Bild". „Maryja Dziewica wygląda jak postać z serialu Simpsonowie" – komentował „The Sun".

Katarzyna Wilk-Wojtczak

eprasa.pl 3303931078

Pytania dotyczące Biblii (220)

Nowy Rok

W krajach, które posługują się kalendarzem gregoriańskim, Nowy Rok obchodzi się 1 stycznia. Ale nie zawsze tak było i jeszcze dziś celebruje się go w zupełnie innym czasie.

System rachuby czasu oparty jest bowiem nie tylko na kalendarzu słonecznym, związanym z obiegiem Ziemi dookoła Słońca czy kalendarzu księżycowym, opartym na cyklu zmian faz „naszego Księżyca". Związany jest też z wierzeniami religijnymi. I dlatego różne narody zarówno dawniej, jak i dziś obchodzą Nowy Rok w różnym czasie.

Różne kalendarze

Na przykład, kalendarz egipski związany był z obiegiem Ziemi dookoła Słońca. Rok trwał 360 dni, do których w ostatnim miesiącu dodawano pięć dni. Święto Nowego Roku rozpoczynało się, gdy Syriusz wyłaniał się zza horyzontu w momencie wschodu słońca, co w przybliżeniu pokrywało się z czasem wylewu Nilu. W kalendarzu tym rok liczył 12 miesięcy. Był on w w użyciu aż do wprowadzenia tzw. kalendarza juliańskiego z I wieku p.n.e., w którym egipski nowy rok przypadał na połowę lipca, czyli 15 czerwca według kalendarza gregoriańskiego.

Kalendarz grecki z kolei oparty był na roku księżycowym, ale początek roku również najczęściej wypadał lipcu. System liczenia lat nawiązywał do pierwszej zanotowanej olimpiady – 776 r. p.n.e. – w Olimpii, od której kolejno, co cztery lata, liczono następne.

W kalendarzu żydowskim, który nawiązuje do pór roku, święto Nowego Roku (hebr. *Rosz ha-Szana*, dosł. „głowa roku") obchodzone jest pierwszego dnia miesiąca Tiszri (wrzesień-październik). Biblia nazywa to święto „dniem trąbienia" (na rogu – przyp. red.), czyli dniem „świętego zgromadzenia" (Kpł 23,24; Lb 29,1). Lata z kolei liczone są od „stworzenia świata", czyli od 3761 r. p.n.e. Warto jednak zauważyć, że Biblia nigdzie nie nazywa pierwszego dnia miesiąca Tiszri pierwszym dniem nowego roku. Przeciwnie, według Tory początek roku powinien być związany z cyklem kultowym, który rozpoczyna się w pierwszym miesiącu wiosny. W żydowskim kalendarzu miesiąc ten nazywał się Abib, a w kalendarzu babilońskim, który wszedł w życie wraz z niewolą babilońską, nosi nazwę Nisan. Pierwszy dzień tego miesiąca był również początkiem babilońskiego nowego roku. A oto i teksty biblijne, które potwierdzają, że początek nowego roku przypada na wiosenny miesiąc Nisan/Abib: „I rzekł Bóg do Mojżesza i do Aarona w ziemi egipskiej, mówiąc: *Ten miesiąc będzie wam początkiem miesięcy, będzie wam pierwszym miesiącem roku*" (Wj 12,1-2); „W miesiącu pierwszym, czternastego dnia tegoż miesiąca o zmierzchu jest Pascha Pana" (Kpł 23,5); „Wyruszyli z Ramzes w pierwszym miesiącu piętnastego dnia pierwszego miesiąca: Nazajutrz po święcie Paschy…" (Lb 33,3, por. Wj 23,15; 34,18; Lb 28,16; Pwt 16,1).

Jeżeli chodzi o kalendarz rzymski, to pierwotnie Nowy Rok łączył się z Romulusem i rozpoczynał się 1 marca oraz liczył 10 nierównych miesięcy. Miesiąc ten był poświęcony bogu wojny – Marsowi. I stąd jego łac. nazwa Martius (Marzec). Kiedy jednak już ok. 700 r. p.n.e. wprowadzono 12-miesięczny rok księżycowy łączony później z rokiem słonecznym, ostatecznie w 153 r. p.n.e. początek roku przeniesiono na 1 stycznia. Miesiąc ten związany jest z rzymskim dwugłowym bogiem słońca – Janusem, od którego pochodzi jego łacińska nazwa Ianuarius. Kalendarz rzymski został znowelizowany w czasach Juliusza Cezara, który w 46 r. p.n.e. polecił dopracować jego zasady greckiemu matematykowi Sozygenesowi. Dzięki niemu przyjęto rok słoneczny z rokiem przestępnym, w którym co 4 lata luty ma 29 dni, a kalendarz ten nazwany został kalendarzem juliańskim. Z niewielką poprawką wprowadzoną przez papieża Grzegorza XIII w 1582 r., obowiązuje do dziś. Poprawka zaś dotyczyła długości roku, który wcześniej wynosił 365 dni i jedną czwartą dnia, będąc dłuższy o 11 minut od roku zwrotnikowego. Ponieważ więc od 46 r. p.n.e. do 1582 r. błąd wynosił już 12 i pół dnia, z czwartku na piątek w październiku 1582 r. wprowadzono zmianę polegającą na tym że po czwartym dniu października nastał piętnasty, a kalendarz otrzymał nazwę gregoriańskiego.

Noc z 31 grudnia na 1 stycznia w pewnym stopniu wiąże się również z papieżem Sylwestrem II (945-1003). Dlaczego? Ponieważ za jego pontyfikatu niemal powszechnie wierzono, że w noc z 31grudnia 999 r. na rok 1000 nastąpi koniec świata. (…) Gdy nic nadzwyczajnego się nie wydarzyło, papież tej właśnie nocy po raz pierwszy udzielił błogosławieństwa „Urbi et orbi" („Miastu i światu"), czyli Rzymowi i światu.

Nie wszyscy od razu zgodzili się z tą zmianą. Na przykład Anglia sprzeciwiała się tej reformie niemal dwieście lat, a Kościół prawosławny był obojętny na te zmiany aż do XX w.

W VII wieku (naszej ery) powstał również kalendarz islamski, który opiera się na fazach księżyca, a lata liczy się od ucieczki Mahometa do Medyny, czyli od 622 r. Ponieważ jednak rok księżycowy jest krótszy od słonecznego o 11 dni, dlatego początek nowego roku przypada w różnych miesiącach. Muzułmanie, tak jak Żydzi, rozpoczynają też dzień po zachodzie słońca.

Historia nocy sylwestrowej

Oczywiście, to tylko niektóre przykłady kalendarzy oraz „witania" Nowego Roku, z którym wiąże się również historia hucznego obchodzenia nocy sylwestrowej. Warto zatem przypomnieć choćby najważniejsze fakty związane z tym „świętem". Zwłaszcza że wiążą się one nie tylko ze wspomnianym już Juliuszem Cezarem, który wprowadził zwyczaj rozpoczynania nowego roku 1 stycznia, ale przede wszystkim z katolickim świętym, czyli z papieżem Sylwestrem I (314-335). Ponieważ 31 grudnia Kościół rzymskokatolicki obchodzi wspomnienie swego patrona i z jego imieniem (imię Sylwester z łac. *silvester* znaczy „leśny; dziki") wiąże się pożegnanie starego roku (wieczór sylwestrowy) i przywitanie nowego. Ale noc z 31 grudnia na 1 stycznia w pewnym stopniu wiąże się również z papieżem Sylwestrem II (945-1003). Dlaczego? Ponieważ za jego pontyfikatu niemal powszechnie wierzono, że w noc z 31 grudnia 999 r. na rok 1000 nastąpi koniec świata. Zakładano, że 1000 lat z dwudziestego rozdziału Apokalipsy to okres Tysiącletniego Królestwa Bożego, począwszy (od błędnej daty) narodzin Chrystusa aż do jego powrotu i sądu nad upadłą ludzkością. Można więc sobie wyobrazić, że tego dnia nikt nie wyczekiwał na milenijną północ z 999 na 1000 rok; że wraz z przybliżającą się datą 31 grudnia wzrastało napięcie i strach, a we wszystkich kościołach Rzymu biły dzwony. W końcu jednak, gdy nic nadzwyczajnego się nie wydarzyło, papież Sylwester II tej właśnie nocy po raz pierwszy udzielił błogosławieństwa „Urbi et orbi" („Miastu i światu"), czyli Rzymowi i światu. Tak oto strach i niepewność w godzinie zapowiadanego końca świata przeistoczyły się w euforię radości, w święto nowego milenium. I od tamtej pory wieczór i noc sylwestrowa to czas hucznych zabaw związanych z powitaniem Nowego Roku.

Początkowo jednak nie wszyscy obchodzili ten dzień w taki sposób. Na przykład do Polski zabawy sylwestrowe dotarły dopiero w XIX w. i początkowo miały miejsce głównie w pałacach, i w co zamożniejszych domach miejskich. Z czasem zostały one jednak upowszechnione i dziś zwyczajem jest rozpoczynać noc sylwestrową od otworzenia butelki szampana.

Niestety, sylwestrowej nocy towarzyszy nie tylko zabawa, ale także fajerwerki, huk petard i pijaństwo. Nie dla wszystkich więc (także domowych zwierząt) owe świętowanie kończy się dobrze. Warto zatem przypomnieć, że nasza wolność kończy się tam, gdzie zagrożona jest wolność drugiego człowieka i dobro wspólne oraz wartości etyczne. Jak napisano: „Wszystko wolno, ale nie wszystko jest pożyteczne; wszystko wolno, ale nie wszystko buduje" (1 Kor 10,23).

Bolesław Parma

eprasa.pl 3303931078

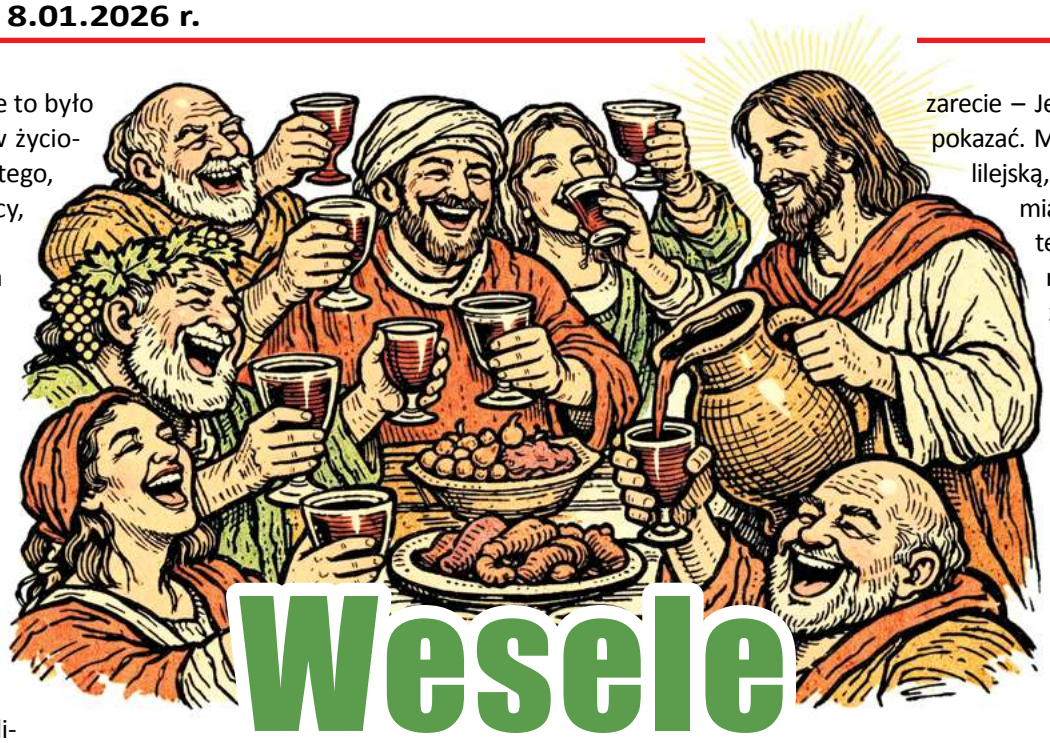

Wesele w Kanie Galilejskiej – poprawiny

Wszyscy znają wesele w Kanie Galilejskiej jako miejsce dokonania przez Jezusa cudu przemiany wody w wino. Temat jest bliski sercu wielu ludzi i nadaje się do dowcipów, więc cud ten należy do najbardziej popularnych epizodów ewangelicznych.

Mało kto jednak wie, że wesele to było także ważnym momentem w życiorysie Chrystusa. I to nie dlatego, jak utrzymują niektórzy biblijni analitycy, że rzekomo on sam miał tam być panem młodym. Analiza tego wydarzenia nie jest prosta, gdyż splatają się w niej różne wątki, ale pozwala znaleźć odpowiedzi na pytania: czyje to było wesele, kiedy się odbyło, kto i dlaczego był obecny wśród gości.

Pomysł mesjańskiej kampanii

Najpierw ustalmy, dlaczego było ono tak ważne w życiu Jezusa. Otóż Ewangelista Jan zmieścił na koniec swego opisu następującą uwagę: „Taki to początek znaków uczynił Jezus w Kanie Galilejskiej. Objawił swoją chwałę i uwierzyli w Niego Jego uczniowie" (J 2.11). Wynika z tego, że dopiero po tym wydarzeniu Jezus ujawnił się jako mesjasz, Syn Boży zesłany na ziemię. Trzeba to wyraźnie podkreślić, bowiem pozostali ewangeliści początek mesjańskiej działalności Jezusa wiązali z jego chrztem w Jordanie. Otóż rację ma w tym wypadku Jan, gdyż pobyt nad Jordanem, wysłuchanie nauk Jana Chrzciciela i chrzest z jego rąk natchnęły Jezusa jedynie do rozpoczęcia działalności w roli kaznodziei, rebe-nauczyciela oraz uzdrowiciela, a nie mesjasza.

Podstawową okolicznością, którą należy uwzględnić przy analizie wesela w Kanie, jest fakt, że o wydarzeniu tym opowiada wyłącznie Ewangelia Jana, zaś ani słowem nie wspomina o nim ewangelia Marka, najstarsza z opowieści o Jezusie. Trzeba też zauważyć, że Marek nie był samodzielnym autorem swej księgi, lecz raczej sekretarzem, gdyż spisał ją ze słów Piotra Rybaka. Wykazywałem już we wcześniejszych publikacjach w „FpM", że apostoł Piotr, nadzwyczaj ambitny i bardzo zazdrosny o względy Jezusa, czuł ogromną niechęć do innych bliskich mu osób. Właśnie dlatego całkowicie usunął ze swojej relacji tak ważną dla Chrystusa osobę jak Łazarz oraz wspaniały cud jego wskrzeszenia. Dokładnie ten sam powód zdecydował, że nic nie napisał o weselu w Kanie Galilejskiej – panem młodym był tam właśnie Łazarz. Teraz można ustalić także, kim była jego oblubienica.

Matka panny młodej

W czasie hucznej imprezy zabrakło wina i matka Jezusa zwróciła się do syna, aby pomógł coś z tym zrobić. A więc Maria nie była gościem, gdyż wówczas nie martwiłaby się takim problemem. Charakterystyczne jest ponadto, że wydawała polecenie weselnej służbie – „Wtedy Matka Jego powiedziała do sług: Zróbcie wszystko, cokolwiek wam powie" (J 2,5). Jak widać, miała prawo zarządzać, czyli musiała być gospodynią tej uroczystości, a to znaczy, że była matką panny młodej. Po prostu wesele w Kanie Galilejskiej połączyło młodego Łazarza, syna bogatego Szymona Faryzeusza, byłego stołecznego polityka, a teraz mieszkańca wsi Betania, z jedną z sióstr Jezusa.

Wielu badaczy dostrzega rolę Marii podczas uroczystości i wyciąga błędny wniosek, że to Jezus się wówczas ożenił, a jako jego małżonka jest najczęściej wskazywana Maria Magdalena, jedna z kobiet stale mu towarzyszących. Budowane są na tej bazie rozliczne fantastyczne opowieści, m.in. o ich wspólnym potomstwie, ale nie ma to nic wspólnego z faktami. Ewangelista Jan swój opis uroczystości zaczął od zdań: „Trzeciego dnia odbywało się wesele w Kanie Galilejskiej i była tam Matka Jezusa. Zaproszono na to wesele także Jezusa i Jego uczniów" (J 2, 1). Jezus z pewnością nie był więc panem młodym, natomiast tak oficjalne zaproszenie go na ślub własnej siostry rzuca pewne światło na jego ówczesne stosunki rodzinne.

Konflikt z Marią

Otóż relacje Jezusa z matką od dawna były niedobre. Aby to wykazać, trzeba sięgnąć do początków jego publicznej działalności. Wówczas to, jeszcze w Nazarecie, Maria była przeciwna zamiarom syna, który chciał zostać kaznodzieją – ona zapewne wolałaby, aby zajął się warsztatem po ojcu. On mimo to wystąpił w miejscowej synagodze jako groźny głosiciel słowa bożego, za co został przez starszyznę i rabinów postraszony karą śmierci i wygnany z miasta. Dotarł później do miasteczka Kafarnaum, gdzie swymi naukami i uzdrowieniami szybko zyskał popularność. Wtedy przybiegła tam z Nazaretu jego matka, wystraszona, że znów grozi mu niebezpieczeństwo. Ewangelia Marka (3,31-35) opisuje, że Jezus nie chciał jej wówczas widzieć i stwierdził, że jego rodziną są teraz jedynie otaczający go słuchacze. Ten moment wyraźnie dowodzi wspomnianych złych stosunków z Marią i wskazuje, że wesele siostry było okazją do pogodzenia syna z matką.

Natomiast właśnie ta okoliczność zdecydowała, że uroczystość nie odbyła się tam, gdzie powinna, czyli w Nazarecie – Jezus, jako wygnaniec, nie mógł się tam pokazać. Maria wybrała więc nieodległą Kanę Galilejską, skąd zapewne sama pochodziła i gdzie miała jakichś bliskich krewnych. Tylko dzięki temu Jezus, który też chciał już naprawić relacje z matką, mógł bezpiecznie przyjąć zaproszenie. Z tym wątkiem koresponduje informacja o tym, co wydarzyło się wkrótce po uroczystości: „Następnie On, Jego Matka, bracia i uczniowie Jego udali się do Kafarnaum, gdzie pozostali kilka dni" (J 2, 12). Po latach złych stosunków pogodzony wreszcie z matką Jezus chciał spędzić z nią i braćmi więcej czasu, a także pochwalić się, że wygnany niegdyś z miasta w jednej szacie, dał sobie radę i żyje całkiem dostatnio.

Start po władzę

Teraz można wyjaśnić, dlaczego dopiero po weselu w Kanie Jezus publicznie ogłosił się mesjaszem i podjął usilną pracę, aby jak najwięcej ludzi w niego uwierzyło. Obecny na weselu ojciec pana młodego Szymon Faryzeusz już dużo wcześniej namawiał Jezusa, aby wykorzystał swe zdolności uzdrowicielskie oraz przekonanie wielu ludzi, którzy nazywają go prorokiem, Synem Dawida, Synem Bożym i podobnie. Jeżeli potwierdzi publicznie, że jest mesjaszem, to z pewnością uwierzą w niego kolejne ogromne rzesze mieszkańców Izraela. Gdy zaś będzie miał poparcie setek tysięcy żydów, to za Syna Bożego będą musieli go uznać także arcykapłani i zostanie wówczas jedynym władcą Świątyni, Jerozolimy i całego kraju.

Wizja była kusząca, ale Jezus wahał się – wiedział, że operacja jest bardzo ryzykowna, a finał niepewny. Nie miał też pewności, czy Szymon Faryzeusz szczerze obiecuje, że wraz ze swymi bogatymi jerozolimskimi przyjaciółmi (Józefem z Arymatei i Nikodemem) udzieli mu wszelkiej pomocy. Rozważał propozycję, ale ostatecznej decyzji wciąż nie podejmował. Szymon Faryzeusz rozumiał jego rozterki i aby je rozwiać, doprowadził do małżeństwa swego syna z siostrą Jezusa. Mogło to wyglądać na mezalians – syn podstołecznego bogacza z córką cieśli. Ale warto zauważyć, że Szymon Faryzeusz w ten sposób wiązał się rodzinnie z prawdopodobnym przyszłym królem Izraela. Gdyby Jezusowi udało się skutecznie zrealizować plan mesjańskiego zamachu stanu, to prawą ręką władcy byłby właśnie on. Uroczystość w Kanie rozwiała szereg wątpliwości Jezusa, a fakt, że biesiadnicy weselni uwierzyli, iż dokonał on zamiany wody w wino, był dodatkowym elementem utwierdzającym go w przekonaniu, że także Jahwe mu sprzyja. Podjął więc ostateczną decyzję. Właśnie po weselu otwarcie ogłosił, że jest mesjaszem – wstąpił na drogę, która miała zaprowadzić go aż na izraelski tron.

Powyższy, dosyć złożony zestaw wniosków wyjaśnia wszystkie podstawowe zagadki wesela w Kanie Galilejskiej. Pozostaje jeszcze odpowiedzieć na pytanie, dlaczego Ewangelista Jan początek swej relacji zaczął od słów „Trzeciego dnia…". Wielu biblistów wciąż usilnie stara się ustalić, od jakiego to wydarzenia upłynęły te dni przed weselem. Powiedzmy więc, że te poszukiwania są bezsensowne, bo po prostu w ten sposób żydzi nazywają wtorek, który jest trzecim dniem tygodnia, licząc od niedzieli.

Sławomir Sadowski

eprasa.pl 3303931078

Za nami 365 dni, w trakcie których polityka – krajowa i międzynarodowa – zmieniała się jak w kalejdoskopie.

Rok na huśtaw

Wchodziliśmy w miniony rok w ambiwalentnych nastrojach: wydawało się, że za sześć miesięcy – po zmianie gospodarza pałacu przy Krakowskim Przedmieściu 48/50 – polskie sprawy ruszą z kopyta, ale jednocześnie zwycięstwo Donalda Trumpa w wyborach prezydenckich za oceanem wywoływało niepokoje. I w gruncie rzeczy z podobnie niejednoznacznymi emocjami ten rok kończyliśmy. W kraju w końcu, po latach oczekiwania, Jarosław Kaczyński zaczął tracić kontrolę nad zbudowaną przez niego partią (i szerzej – obozem politycznym o populistycznym i miękko autorytarnym zabarwieniu, skupiającym niemal połowę rodaków). W związku z tym to środowisko zaczęło ulegać wyraźnej i dość szybkiej dezintegracji. Ale w siłę rosną ruchy jeszcze groźniejsze: radykalne, nacjonalistyczne i jawnie faszyzujące. Do tego wojna – u progu poprzedniego roku wciąż rysująca się jako coś jednak odległego – nabrała cech konkretnych, mogących bezpośrednio zagrozić i nam.

W tym czasie – między jednym a drugim stanem – byliśmy trochę jak na karuzeli. Przeżyliśmy i powiew optymizmu, i szok pomieszany z niedowierzaniem, i znów jakieś iskierki nadziei.

Czy rok następny będzie lepszy? Trudno powiedzieć. Nie szykują się – wyjątkowo – żadne wybory, ale nie odpoczniemy od polityki. Nasza wojna na górze będzie trwała w najlepsze, to pewne. Czy wojna nie w przenośni, lecz kinetyczna stanie się bardziej prawdopodobna? Niestety, tego nie można wykluczyć. Pocieszające choć trochę jest to, że w swój wir raczej nie wciągnie nas w 2026 r.

Optymizm na początek

W poprzedni rok wkraczaliśmy – my, demokraci – raczej z optymizmem. Co prawda nadal zarzucaliśmy rządowi koalicji 15 października (K15P) niezrealizowanie wielu kluczowych obietnic i ogólną rozlazłość, ale perspektywa wyborów prezydenckich prezentowała się nad wyraz obiecująco. Późną jesienią Kaczyński po wielu rozterkach i wahaniach w końcu zdecydował się na kandydata PiS w tym starciu – i byliśmy pewni, że dokonał wyboru najgłupszego z możliwych. Karol Nawrocki był nie tylko nikomu nieznany, ale też wykazywał się drewnianym aktorstwem, nieudolnie dukał z kartki napisane mu przemówienia, miał radykalnie prawicowe poglądy i dobrze czuł się wyłącznie podczas porannych przebieżek albo targając na plecach lodówkę. Pasował do najwyższego urzędu w państwie jak wół do karety. Po drugiej stronie miał obytego, otrzaskanego z wielką polityką, także europejską i międzynarodową, władającego językami obcymi i rozważnego Rafała Trzaskowskiego. Inni kandydaci nie liczyli się. Wydawało się, że jest pozamiatane.

Uzasadnione więc były oczekiwania, że po pożegnaniu Andrzeja Dudy, który nie pozwalał rządowi przywracać niezależności wymiaru sprawiedliwości i blokował nominacje ambasadorskie, sprawy reform ruszą z miejsca. Że Trzaskowski w try miga podpisze ustawy przygotowane przez ministra Adama Bodnara, wyśle dyplomatów do nieobsadzonych stolic i zadeklaruje podpisy pod ustawami liberalizującymi przepisy antyaborcyjne i wprowadzającymi związki partnerskie. A nawet, że wywrze presję na konserwatywne człony koalicji – PSL i partię Szymona Hołowni – sabotujące prace nad ostatnimi dwiema kwestiami. Ostatecznie był włodarzem Warszawy, najbardziej przyjaznego, tolerancyjnego i życzliwego wszystkim miasta w Polsce, zdejmował krzyże w podległych mu urzędach, wprowadził w mieście 24-godzinne dyżury ginekologiczne, dofinansował zabiegi in vitro, otworzył hostel interwencyjny dla osób LGBT+ w kryzysie bezdomności lub doświadczających przemocy, prowadzi domy i ośrodki wsparcia dla kobiet – ofiar przemocy w rodzinie itp.

Nadciąga cień Trumpa

20 stycznia rozpoczęła się druga kadencja Donalda Trumpa. Stanęliśmy w obliczu naprawdę czarnego scenariusza. O tym, co zrobi w razie elekcji, w kampanii mówił wprost. I nie trzeba było długo czekać: ledwo po trzech tygodniach od zaprzysiężenia nastąpiły „cztery dni, które wstrząsnęły światem", jak nazwaliśmy je na łamach „Faktów po Mitach".

Trump bez uprzedzenia sojuszników zadzwonił do Władimira Putina. Doszli do wspólnego wniosku, że wojnę w Ukrainie trzeba szybko zakończyć. Już sto godzin później do Arabii Saudyjskiej na rozmowy z ministrem spraw zagranicznych Ławrowem wyruszył zespół amerykańskich negocjatorów. W tym samym czasie sekretarz obrony USA Pete Hegseth podczas spotkania ministrów NATO zarysował elementy planu: zajętych przez Rosję terenów (20 proc. ukraińskiego terytorium) nie da się odzyskać, Kijów nie wchodzi do Sojuszu Atlantyckiego, Stany Zjednoczone nie wezmą udziału w misji gwarantującej przestrzeganie zawieszenia broni. Upełnomocniony przez Trumpa do znalezienia rozwiązania naddnieprzańskiego konfliktu generał Kellogg powiedział wprost i publicznie, że Europejczycy przy stole rokowań siedzieć nie będą. Jednak mimo buńczucznych zapowiedzi o zakończeniu wojny w Ukrainie w ciągu 24 godzin, a później stu dni – nic takiego oczywiście nie nastąpiło.

Na początku kwietnia poszły w ruch decyzje 47. prezydenta USA o nakładaniu ceł na prawo i lewo, na niemal wszystkie kraje globu, w sposób jako żywo przypominający machanie kłonicą. Międzynarodowy handel na chwilę zamarł. Dzisiaj nie wiadomo, na jakich zasadach będzie się prowadzić wymianę towarową z największą gospodarką świata.

Europa się zbroi

Nieskuteczność amerykańsko-rosyjskich prób przymuszenia Ukrainy do kapitulacji (na kształt Monachium 1938) w dużej mierze wzięła się ze stanowczego oporu Unii Europejskiej i jej sojuszników: Wielkiej Brytanii, Kanady, Norwegii, momentami nawet Turcji. Między 3 lutego (jeszcze przed przyobleczeniem nowych koncepcji Trumpa w formę decyzji i działań) a 21 marca miała miejsce seria formalnych i nieformalnych spotkań Rady Europejskiej oraz szczytów w innych tworzonych *ad hoc* formatach. Skończyły się one nie tylko refleksją strategiczną o konieczności szybkiego i znaczącego zwiększenia własnych zdolności obronnych UE. Na wypadek przeniesienia uwagi Stanów Zjednoczonych na inne części świata, a nawet w razie całkowitego wycofania się ich z Europy, Unia musi bowiem mieć zdolność zapewnienia swojego bezpieczeństwa w razie agresji fizycznej. Tej konkluzji towarzyszyły całkiem konkretne programy (np. SAFE) i pieniądze idące w setki miliardów euro. Unia wyruszyła w drogę ku jakiejś formie sojuszu obronnego.

Sprawnie weszła też w buty Wuja Sama, gdy chodzi o finansowe i militarne wsparcie Ukrainy na froncie. Zdaje się, że nawet zaprzestanie udostępniania danych wywiadowczych mogłoby zostać zastąpione przez informacje od sojuszników europejskich, włącznie z pochodzącymi z rozpoznania satelitarnego. Z czasem państwa Starego Kontynentu będą w stanie dostarczać wystarczające ilości własnego sprzętu i amunicji o niegorszej jakości. Zaś po wojnie europejskie koncerny zbrojeniowe staną się konkurencją dla koncernów zza oceanu.

Nasza zbrojeniówka też na tym korzysta. Dostaje potężny zastrzyk środków na inwestycje oraz wielkie zamówienia. Drugą stroną tego medalu jest jednak fakt, że wydatki na ten cel zbliżają się do granicy 5 proc. PKB, budżet zaczyna trzeszczeć w szwach, co odczuwa coraz więcej obszarów społecznie wrażliwych.

Szok i smuta

Kampania prezydencka w Polsce zaskoczyła wielu obserwatorów. Z jednej strony, Trzaskowski odpuścił naturalny dla niego elektorat lewicowo-liberalny i postanowił zawalczyć o konserwatystów. Pokazywał się jako nacjonalista gospodarczy, stał się krytykiem Unii Europejskiej i ujawnił antyukraińskie nastawienie. Storpedował wprowadzenie do szkół edukacji zdrowotnej jako przedmiotu obowiązkowego. W efekcie zniechęcił sporą część z 11,6 miliona wyborców, którzy w 2023 r. głosowali na partie demokratyczne, zaś dla sympatyków Konfederacji i Grzegorza Brauna nie okazał się – co można było przewidzieć – żadną alternatywą. Znalazł się też pod ostrzałem nader licznych rywali z partii koalicyjnych oraz pozostających poza K15P, ale cieszących się zaufaniem środowisk lewicowych. Najbardziej ujawniło się to podczas debaty telewizyjnej w Końskich. To od niej zaczął się sondażowy zjazd kandydata KO.

eprasa.pl 3303931078

Z drugiej strony, Nawrocki okazał się pojętnym uczniem. Człowiek, który w życiu nie przeprowadził żadnej kampanii wyborczej, nauczył się rozmawiać z ludźmi przychodzącymi na jego wiece. Przekonał do siebie (nie bez trudu) elektorat PiS i na kolanach wybłagał poparcie Sławomira Mentzena, ostatecznie trzeciego w stawce, a w ślad za tym przejął głosy konfederatów. Nie imały się go żadne z ujawnionych kompromitujących faktów z przeszłości: kontakty z przestępczym półświatkiem Trójmiasta, udział w procederze sutenerstwa, wyłudzenie mieszkania od starszego nieporadnego człowieka, aktywność w chuligańskich grupach kibicowskich, niegospodarność i zarzuty mobbingu w instytucjach, którymi wcześniej kierował itp.

Pierwszego czerwca, w dniu zakończenia drugiej tury, Trzaskowski poszedł spać jako zwycięzca, ale drugiego dnia to Nawrocki wstał jako prezydent. Połowa obywateli (minus 370 tysięcy, 1,77 proc.) osłupiała. Nadzieje na przyspieszenie, bez wet głowy państwa, procesu naprawy Rzeczypospolitej w okamgnieniu się rozwiały. A nowy prezydent okazał się nadzwyczaj twardym przeciwnikiem demokratycznego rządu. Rozpoczęła się wojna na górze.

Żurek zastępuje Bodnara

Rząd, wspierające go partie i ich sympatycy długo nie mogli otrząsnąć się z niedowierzania. Co prawda premier Tusk już dzień po ogłoszeniu wyniku głosowania zapowiedział, że wie, co ma robić, że ma „plan B", ale były to słowa pocieszenia na wyrost. Symbolem tego stanu umysłów była przeciągająca się (zapowiadana przed wyborami jako obietnica *przyspieszenia*) i nigdy niedokończona (wiceministrowie!) rekonstrukcja gabinetu. Z dużej chmury spadł bardzo mały deszcz. Koalicja zaczęła się kłócić jeszcze bardziej, zaś Hołownia obraził się na partnerów, wyborców i w końcu swoją własną partię.

Jeśli ktokolwiek dostrzegł jakąś zmianę, to zapewne na stanowisku ministra sprawiedliwości – prokuratora generalnego. Adama Bodnara zastąpił Waldemar Żurek, sekowany przez ekipę Zbigniewa Ziobry sędzia. Wraz z jego nominacją rzeczywiście impetu nabrał proces rozliczeń za przestępstwa poprzedniej, pisowskiej, władzy. Mniejsze tu znaczenie mają temperamenty obu ministrów, lecz że prowadzone mozolnie śledztwa wreszcie zaczęły przynosić efekty. Nikt (z wyjątkiem trzech mało znanych urzędników, którzy poszli na współpracę i dobrowolnie poddali się karze w postępowaniu dotyczącym Funduszu Sprawiedliwości) nie został jeszcze skazany, ale sypnęło prokuratorskimi zarzutami. W sprawie tegoż Funduszu – wobec 25 osób, w tym samego Ziobry i jego zastępców: Wosia i zbiegłego do Budapesztu Romanowskiego (w stosunku do tego ostatniego sąd niespodziewanie cofnął europejski nakaz aresztowania); za system Pegasus – dla byłego szefa CBA Bejdy i jego zastępców; za aferę wizową – ministrów Raua i Wawrzyka (plus skierowany do sądu akt oskarżenia wobec 11 osób); zarzuty ujawnienia tajnych informacji o wojskowych planach obronnych RP dla Mariusza Błaszczaka i Sławomira Cenckiewicza; liczne inne postępowania dotyczące oszustw, wyłudzeń, oświadczeń majątkowych itp. z udziałem takich postaci jak Czarnecki, Mejza czy Ardanowski.

Te sprawy mają znaczenie polityczne, bo oczekiwanie wyciągnięcia konsekwencji za wszystkie większe i mniejsze przewiny ludzi władzy, którzy sprzeniewierzyli się powierzonej im odpowiedzialności, jest silne i będzie napędzać partie demokratyczne. Ale jest też zdrowym odruchem dobrze urządzonego, sprawiedliwego państwa.

K15P bierze się w garść

Nie tylko dzięki rozpędzającej się maszynie rozliczeń w ostatnim kwartale roku rządząca koalicja niespodziewanie wyszła z marazmu. Duże znaczenie ma też to, że ustały wewnętrzne konflikty, a to dlatego, że Polska 2050 – rozsadnik napięć i chaosu – zajęła się sobą. Z przewodzenia jej wycofał się lider Hołownia, a szerokie grono najambitniejszych członków zażarcie walczy o schedę. Gdy już się poukładają i tak nie będzie czego zbierać: partia szoruje po dnie z niewiele ponad jednoprocentowym poparciem. Wyborcy przepłynęli do Koalicji Obywatelskiej, która na dobre zadomowiła się na szczycie sondaży. PSL co prawda też stoi przed ryzykiem znalezienia się poza parlamentem, ale jeśli Nowa Lewica dobrze wykorzysta aktywność i stanowczość nowego marszałka Sejmu Włodzimierza Czarzastego, może sięgnąć po kilkunastoprocentowy wynik w 2027 r. – co wspólnie z KO może pozwoli demokratom utrzymać władzę.

Na razie jednak badania wciąż dają przewagę prawicy: Prawu i Sprawiedliwości oraz dwóm Konfederacjom (Mentzena&Bosaka oraz Brauna). To one są na linii wznoszącej. Formacja Kaczyńskiego słabnie, szarpana walką frakcji. Prezes nie ma już siły sprawczej, aby w tym towarzystwie zaprowadzić porządek. Możliwe, że własne ugrupowanie założy Mateusz Morawiecki, jeśli zostanie wypchnięty z mateczki-partii. Mało kto spodziewał się tego zamętu już teraz (zwłaszcza po wyborczym zwycięstwie Nawrockiego), ale obiektywnie rozpad albo zanik PiS jest nieunikniony. Nie chodzi tylko o gryzienie się buldogów pod dywananem – a teraz już jawnie na nim. Po prostu poza szefem tego stronnictwa nikt nie ma wystarczających kwalifikacji i umiejętności, aby utrzymać je w pełnej krasie.

Z kim trzyma Trump?

Trump trzykrotnie był bliski zawarcia „pokoju" między Rosją a Ukrainą na warunkach Moskwy i wbrew interesom Kijowa i Europy. Po opisanych już zabiegach z lutego, wraz z obsobaczeniem Wołodymyra Zełenskiego w Gabinecie Owalnym, była jeszcze wizyta Putina na Alasce, a teraz trwają gorączkowe próby nakłonienia go do przyjęcia planu spisanego przez specjalnego wysłannika amerykańskiego prezydenta Steve'a Witkoffa, a podyktowanego mu przez Putina lub jego reprezentanta Kiriłła Dmitrijewa. Amerykańscy oligarchowie, z Trumpem i Witkoffem na czele, łakomie patrzą na możliwe intratne kontrakty z euroazjatyckim imperium. Na szczęście wydaje się, że po raz kolejny wspólna kontrakcja przywódców europejskich storpeduje to zagrożenie. Przegrana, słaba Ukraina i rozochocona Rosja z rozpędzoną gospodarką wojenną stanowią przepis na przyszłe śmiertelne niebezpieczeństwo dla Starego Kontynentu.

Mimo że Waszyngton nie dokłada już ani centa do obrony naszego południowo-wschodniego sąsiada przed rosyjskim naporem (wręcz odwrotnie: solidnie na tym zarabia, bo za amerykańskie broń i amunicję dostarczane na front płacą teraz kraje UE; szkoda, że nie udało się do tego celu wykorzystać rosyjskich pieniędzy zamrożonych w zachodnich instytucjach finansowych), rosyjskie oddziały poruszają się w tempie ślimaka. Front praktycznie stoi. Jeśli jednak pozwolimy Putinowi złapać oddech, uzupełnić zapasy, poprawić dowodzenie armią, u bram wyrośnie nam potężny wróg. Polski pewnie nie zaatakuje, przynajmniej nie w pierwszej kolejności. Ale czy nie przeprowadzi na przykład „specjalnej operacji" na kraje bałtyckie dosłownie wzdłuż naszej granicy, licząc, że nie pospieszymy z pomocą? Dając swojemu chińskiemu sojusznikowi okazję do zajęcia Tajwanu? Trzeba kreślić różne scenariusze i plany. Mogłoby to zdarzyć się zarówno za trzy lata, jak i za dwadzieścia trzy. I przez cały ten czas musielibyśmy utrzymywać budżet obronny na wysokim poziomie.

I jak tu Państwu życzyć szczęśliwego, dostatniego Nowego Roku? Oby chociaż był spokojny. Do Siego!

Jakub Jabłoński

eprasa.pl 3303931078

O „wchodzeniu w d…” w wersji galowej

Sezon na statuetki

W Polsce są dwie pory roku: grzewcza i nagrodowa. W tej drugiej redakcje oraz rozmaite środowiska związane z polityką nagle odkrywają w sobie głęboką potrzebę „doceniania”.

W praktyce to zwykle docenianie tych, którzy mają pieczątkę, budżet, mikrofon albo immunitet. A jeśli nie mają – to przynajmniej mają potencjał, żeby je mieć. W wyróżnianiu przodują środowiska prawicowe, ale i liberałowie też chętnie to robią. Widać to również w 2025 roku, w którym laurki dla władzy mnożyły się z prędkością światła. A kto nie zdążył, ten przynajmniej przypiął sobie „nagrodę za rok 2024” w 2025. Bo przecież „wchodzenie w d…” też ma swoje terminy płatności.

Człowiek Roku

W 2025 r. Forum Ekonomiczne w Karpaczu Człowiekiem Roku ogłosiło Krzysztofa Gawkowskiego – wicepremiera i ministra cyfryzacji. W opublikowanych komunikatach wybrzmiało to jak nagroda dla wizji „cyfrowej, europejskiej Polski”: modernizacja, przyszłość, wyzwanie, wizja i przywództwo oparte na wiedzy i odwadze. Tegoroczna nagroda dla Gawkowskiego nie jest przypadkiem, tylko przyjętą przez Forum formułą, bo w Karpaczu nagradza się władzę, najchętniej w wersji technokratycznej. To się dobrze sprzedaje sponsorom, panelistom i publiczności. Rok wcześniej wyróżniono Władysława Kosiniaka-Kamysza – wicepremiera i ministra obrony, a w 2023 Forum poszło w dyplomację i nagrodziło Marka Brzezińskiego, ówczesnego ambasadora USA w Polsce.

fot. AI

Wzór jest zatem dość prosty: czy to „bezpieczeństwo”, czy „cyfryzacja”, czy „sojusz” – zawsze chodzi o władzę w wersji strategicznej. Nagrody niby nie *stricte* partyjne, jednak zawsze krążące wokół kogoś z aktualnego rządu, wojska albo geopolityki. Bo to są te momenty, w których gala staje się „ważna”, a zdjęcie z laureatem jeszcze ważniejsze.

Człowiek Wolności

Tygodnik „Sieci” działa dość podręcznikowo. W 2025 r. nie było zatem wielkiego zaskoczenia, gdy na gali „Człowiek Wolności 2024” laureatem został prezydent Karol Nawrocki. „Sieci” nie udają, że chodzi o coś innego niż polityczne zespolenie z partią Jarosława Kaczyńskiego. Od lat wyróżniają wyłącznie polityków związanych z jego formacją, którzy z tytułową „wolnością” do czynienia mają tyle, co krzesło elektryczne z krzesłem do siedzenia.

Wystarczy spojrzeć na listę laureatów: za 2023 r. wyróżniony został Adam Glapiński (prezes NBP), chwalony za „obronę niezależności banku centralnego”, „polskiego złotego” i „suwerennej polityki gospodarczej”. W 2022 – Mariusz Błaszczak (szef MON), w 2021 – (wicepremier) Jarosław Kaczyński, a w 2020 Daniel Obajtek, ówczesny prezes Orlenu. „Wolność” w tym wydaniu oznacza: państwowa spółka/lider obozu/minister siłowy/prezes instytucji/prezydent. I teraz najważniejsze: taka nagroda służy nie tylko laureatowi. Przede wszystkim jest narzędziem organizatora do budowania pozycji w ekosystemie władzy. A władza dysponująca pieniędzmi potrafi się odwdzięczyć. Wystarczy przypomnieć mechanizm sprzed kilku lat: Orlen sponsoruje imprezę, podczas której dostaje nagrodę za „umiejętne korzystanie z wolności gospodarczej” – i wszyscy udają, że to „przypadek”.

Swój Człowiek Roku

Tygodnik „Gazeta Polska” od lat używa tytułu Człowiek Roku jak stempla z oznaczeniem: „to nasi”. Środowisko związane z Tomaszem Sakiewiczem corocznie przyznaje kilka różnie nazywanych nagród za rok ubiegły, których laureatami niezmiennie zostają osobnicy powiązani z pisowską wierchuszką.

Najbardziej wymowne było przyznanie w 2025 r. tytułu Człowieka Roku 2024 Klubów Gazety Polskiej Karolowi Nawrockiemu – za „sprzeciwienie się elicie”. Karol Karpierz, przewodniczący Klubu „GP” w Nowym Targu, uzasadnił nagrodę dla Nawrockiego faktem „wielkiej odwagi”, której wymaga świadome sprzeciwienie się „elicie uważającej się za nieomylną”. Nawrocki otrzymał ją jeszcze jako prezes IPN i „obywatelski kandydat na prezydenta”. Reasumując, „GP” już wtedy (luty 2025 r.) przygotowywała się na zmianę warty w Pałacu Prezydenckim i – jak czas pokazał – postawiła na zwycięskiego konia. Ale żeby ustępującemu prezydentowi nie było przykro, też go uhonorowano – Andrzej Duda otrzymał nagrodę im. Grzegorza I Wielkiego (papieża, jednego z czterech tzw. doktorów Kościoła) za „marsz ku maksymalnemu zabezpieczeniu Polski”.

We wcześniejszych latach środowisko „GP” nagrodziło m.in. europosła i współprzewodniczącego frakcji Europejskich Konserwatystów i Reformatorów Ryszarda Legutko (2023) oraz marszałkinię Sejmu RP Elżbietę Witek (2022). Obie te nominacje miały pokazać, kto „broni Polski”, walczy z „zakłamaną i bezideową” Unią i buduje ideologiczne podwaliny pisowskiej władzy. Laureatami nagród „GP” byli już wcześniej Mateusz Morawiecki (trzykrotnie!) i dwa razy Jarosław Kaczyński, a w uzasadnieniu padało wprost, że to niekwestionowany autorytet i gwarant, iż „sprawy Polski idą w dobrym kierunku”.

Jak widać, Kluby nie udają apolityczności. Przyznana nagroda nie jest nagrodą za dokonania – to jest nagroda za bycie symbolem. A symbol w roku wyborczym jest cenniejszy niż program. Dlatego taki wybór działa jak publiczny doping: „nasz kandydat, nasz człowiek, nasza statuetka”. No i czekają na rewanż…

Liberalny podliz

Ale i obóz liberalny spod znaku Adama Michnika ma swoich corocznych wybrańców. „Gazeta Wyborcza” gra jednak inną kartą: zamiast nagradzać władzę, nagradza opór wobec nadużyć politycznych, mocno akcentując hasła społeczeństwa obywatelskiego. W ostatnich trzech edycjach nagrody otrzymywały osoby zaangażowane obywatelsko, zwłaszcza w obronę praw człowieka oraz bezkompromisowość poglądów.

Człowiekiem Roku 2025 „Gazety Wyborczej” został Norman Davies w uznaniu za dekady pracy nad historią Polski i jej popularyzację. Nagrodę specjalną przyznano prezydentce Mołdawii Mai Sandu, chcąc w ten sposób uhonorować przywództwo, dzięki któremu jej kraj staje się częścią zjednoczonej Europy. Nagroda czytelników powędrowała zaś do Jerzego Owsiaka „za całokształt jego niezwykłej społecznej działalności”. W 2024 r. wyróżniona przez „GW” została Agnieszka Holland – podkreślano jej „odważne” zaangażowanie obywatelskie i spór o wartości. Warto przypomnieć, że rok wcześniej premierę miał kontrowersyjny film reżyserki „Zielona granica”, opowiadający o *push backach* na granicy z Białorusią.

Rok 2023 przyniósł wyróżnienie Hannie Machińskiej – prawniczce, byłej zastępczyni rzecznika praw obywatelskich obrończyni praw człowieka. W uzasadnieniu podkreślano jej upór i bezkompromisowość w stawaniu po stronie ofiar, w walce o prawa człowieka (także w kontekście granicy z Białorusią).

Wbrew pozorom wybory „Wyborczej” też są polityczne – tyle tylko, że nie „wchodzi ona w d…” gabinetom. Ona „wchodzi w d…” własnej opowieści: że najważniejsze jest społeczeństwo obywatelskie, a nie „silna ręka” władzy i kościelne dogmaty. I jest w tym konsekwentna, co w polskich warunkach, zwłaszcza za rządów prawicy, było już samo w sobie aktem buntu.

Spoiwo

Zarówno w bieżącym roku, jak i w latach ubiegłych istnieje czytelny podział ról: jedni nagradzają władzę i jej instytucje (prezydent, wicepremier, MON, NBP) – bo to daje dostęp, prestiż i wymianę uśmiechów. Drudzy – antywładzę (prawa człowieka, aktywność obywatelska, autorytety) – bo to cementuje tożsamość czytelników i legitymizuje własną rolę „strażnika”.

Ale w tle jest jeszcze trzeci aspekt: gala jako biznes. Sponsorzy, partnerzy, „złoci partnerzy”, stoły, bilety, zdjęcia w gazetach i na portalach. I wtedy nagroda bywa nie tyle „wyróżnieniem”, co fakturą z życzeniami miłej współpracy – czego dowodem jest przykład Orlenu i gali Karnowskich.

Jaki z tego wniosek? Dość prosty: w Polsce Człowiek Roku najczęściej znaczy po prostu: „człowiek, z którym warto mieć zdjęcie”, bo a nuż się przyda…

Agnieszka Stefańska

eprasa.pl 3303931078

IPN: Instytut Porażki Państwa

W języku dziś rządzących zlikwidować, znaczy dać wolną rękę i ponad 100 mln zł więcej.

W czasie kampanii przed wyborami 2023 r. gdzieś w tle pojawiał się temat pamięci. A z nim IPN, na czele z – nikogo szczególnie wówczas nieinteresującym – Karolem Nawrockim. „Jeżeli chodzi o CBA, jeżeli chodzi o IPN, uważam, że te instytucje powinny być zlikwidowane" – twierdził z kamienną twarzą Włodzimierz Czarzasty. I dodawał: „Ja bym likwidował".

Wyrok

Była to wypowiedź lidera jednej z partii dziś współrządzących. I – co ważniejsze – nikt z koalicjantów nie uznał za stosowne się od niej odciąć.

Donald Tusk o IPN mówił niewiele. Gdy pytano go o kwestie rozliczeń, odpowiadał: „Ludzie chcą rozliczenia PiS. Ale to nie jest zemsta – prawo po prostu ma być stosowane". Nie mówił – „zlikwidujemy IPN". Ale też nie mówił – „bronimy IPN". Przez całą kampanię trzymał się swojego modernizacyjnego tonu; zamiast rozprawiać o pamięci, mówił o gospodarce, o in vitro, o nowym ładzie. IPN w tym obrazie był cichym cieniem PRL – obecnym, lecz niewygodnym.

PSL próbowało balansować. Tam, gdzie Lewica widziała patologię do zaorania, ludowcy chcieli „odpartyjnienia". Ktoś nawet mruknął, że „IPN robi dużo dobrego, tylko trzeba go ucywilizować". W kampanii nie mówiono wprost: zamkniemy IPN. Ale po cichu – choć wystarczająco głośno, by trafiło do dziennikarzy – koalicyjni analitycy rozważali „reformę pionu śledczego", „łączenie instytucji" i „weryfikację kompetencji". Wszystko po to, żeby nie użyć słowa – likwidacja.

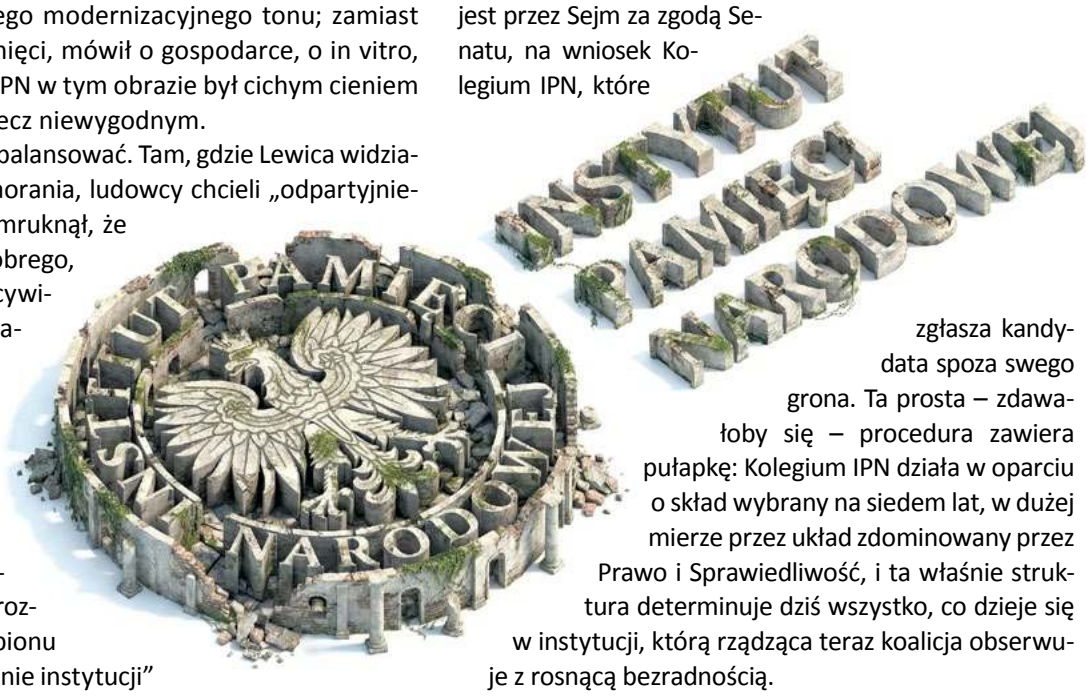

Kilka dni po wyborach parlamentarnych, gdy nikt ze zwycięzców na temat IPN się nawet nie zająknął, głos zabrało Kolegium Instytutu Pamięci Narodowej. „Przestrzegamy przed pochopnymi próbami ograniczenia, a tym bardziej przerwania tej pracy" – pisali jego członkowie z trwogą ludzi, którzy widzą, że nadchodzi przełom. Bo nawet jeśli formalnie nikt nie planował zamknięcia Instytutu, to wielu polityków już zaczęło kłaść na nim krzyżyk.

Nie chodziło tylko o to, kto zasiada w gabinecie prezesa, lecz o samą ideę. O to, czy państwo ma opowiadać własną historię przez podporządkowaną politykom instytucję, czy też ma zostawić to historykom z uniwersytetów i podręcznikom pisanym dla młodzieży, która przecież i tak już nie czyta.

IPN był symbolem wszystkiego, co poprzednia władza rozumiała jako „politykę historyczną". I właśnie dlatego musiał zostać wyciszony. Może nie od razu zlikwidowany. Ale przekształcony, „zracjonalizowany".

Pat

Bez swojego prezydenta, rządzący nie porywali się na IPN. Nikt nie wpadł nawet na pomysł, by wzorem innych instytucji państwowych próbować storpedować jego działalność przez „zagłodzenie", czyli obcięcie finansowania. Po wyborze Karola Nawrockiego na prezydenta, IPN stał się czymś, czego się nie dotyka, bo zacznie brzydko pachnieć. Ba, Instytut stał się bezkrólewiem pamięci – instytucją, która nie ma trwałego, pełnoprawnego prezesa, bo system jego powoływania robi z tego zadania misję prawie niemożliwą. To paradoks, który stworzyła ustawa o Instytucie. A wszystko zaczyna się od jednego prostego faktu: gdy prezes IPN zostaje wybrany i zaprzysiężony na prezydenta Rzeczypospolitej, jego miejsce zostaje puste, a nowe musi zostać obsadzone w procedurze, która od prezydenta nie zależy.

Bo prezes Instytutu Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu powoływany jest przez Sejm za zgodą Senatu, na wniosek Kolegium IPN, które zgłasza kandydata spoza swego grona. Ta prosta – zdawałoby się – procedura zawiera pułapkę: Kolegium IPN działa w oparciu o skład wybrany na siedem lat, w dużej mierze przez układ zdominowany przez Prawo i Sprawiedliwość, i ta właśnie struktura determinuje dziś wszystko, co dzieje się w instytucji, którą rządząca teraz koalicja obserwuje z rosnącą bezradnością.

Kiedy 6 sierpnia Nawrocki przestał pełnić funkcję prezesa IPN, zaczęła się procedura wyboru jego następcy. Trzy miesiące później, w listopadzie, zakończyła się w sposób, który najlepiej obrazuje konflikt między ambicjami a możliwościami – Sejm nie powołał dr. hab. Karola Polejowskiego na stanowisko prezesa IPN. 201 posłów było za, 227 przeciw, a sześciu wstrzymało się od głosu. Za Polejowskim głosowało 178 posłów PiS, dwóch z Koalicji Obywatelskiej, jeden z PSL, 12 z Konfederacji oraz kilku posłów niezależnych i z mniejszych klubów parlamentarnych. Przeciw było szerokie spektrum posłów PO, PSL, Polski 2050 oraz Lewicy. Głosowanie udowodniło, że wybór prezesa nie jest dziś możliwy. Politycy koalicji rządzącej zrozumieli, że IPN jest nie do obsadzenia przez nich. Z tego prostego powodu, że Kolegium Instytutu zawsze przedstawi Parlamentowi do przegłosowania kogoś, kto będzie dla dziś rządzących nie do przyjęcia. Przewodniczącym tego ciała jest prof. dr hab. Wojciech Polak, a razem z nim w Kolegium zasiadają między innymi: prof. Jan Draus, prof. Tadeusz Wolsza i Krzysztof Wyszkowski – ludzie wysłani tam przez PiS.

Zgodnie z ustawą, to Kolegium decyduje, kto może zostać prezesem, a Sejm – niezależnie od większości parlamentarnej – musi tylko zatwierdzić tego kandydata. Jeśli Sejm nie chce, jak pokazało głosowanie nad Polejowskim, zaakceptować zgłoszonego kandydata – robi się impas. I właśnie dlatego obowiązki prezesa IPN wciąż pełni Polejowski. Facet, który w komisji sejmowej mówił o swojej wizji Instytutu jako miejsca nowoczesnego, atrakcyjnego dla młodych Polaków, gdzie „systematycznie wykorzystywane są nowe technologie", a archiwa stanowią tylko jeden z elementów opowiadających historię. I dodał od siebie, że „w Biurze Badań Historycznych pracuje prawie dwustu historyków, wybitnych znawców historii najnowszej" – co miało podkreślić pluralizm i potencjał kadrowy IPN. Polejowski podkreślał też, że Instytut realizuje swoje zadania zgodnie z misją, a pluralizm poglądów widoczny jest w „publikacjach Instytutu dotyczących wielu rzeczy związanych z najnowszą historią Polski".

Cokolwiek by jednak powiedział, posłowie koalicji i tak by go nie zatwierdzili, bo po prostu nie chcą prezesa forsowanego przez Kolegium, które nie jest reprezentatywne dla dzisiejszej większości politycznej. I tak koło się zamyka.

Enklawa

W tym wszystkim najbardziej idiotyczne wydaje się wydawanie pieniędzy na coś, nad czym nie będzie się miało najmniejszej władzy. Budżet Instytutu w 2025 r. wynosił 583 mln zł. Na rok 2026 posłowie zasponsorowali IPN kwotą ok. 690 mln zł. Grubo ponad 100 mln zł więcej niż rok wcześniej. To wzrost, jaki trudno wytłumaczyć dynamiką kosztów. Ten paradoks – większy budżet, mniejsza debata – mówi wiele o tym, na jakim etapie znalazł się IPN: instytucja ma pieniądze i zadania, ale nie ma szefa.

Nieustająco IPN ma też swój pion prokuratorski zatrudniający kilkudziesięciu prokuratorów, zarabiających dużo więcej niż ich koledzy zajmujący się mordercami i terrorystami. Ale ani Bodnar, ani Żurek nie byli w stanie nic im zrobić, a to dlatego, że co prawda są powoływani i odwoływani przez Prokuratora Generalnego, ale na wniosek prezesa IPN. Ba, polecenia Prokuratora Generalnego wykraczające poza IPN można im wydawać tylko za zgodą prezesa IPN. I dlatego choćby Żurek bardzo chciał, to przywrócić ich na łono normalnych prokuratur nie może.

Sejm prawdopodobnie będzie odrzucał kolejnych kandydatów zgłaszanych przez Kolegium IPN. Dr hab. Polejowski pozostanie pełniącym obowiązki prezesa, aż polityczna wola się zmieni, albo aż Rada sama zdecyduje się wskazać kandydata, który znajdzie akceptację większości parlamentarnej. Problem w tym, że mandat członków Kolegium jest dłuższy od kadencji obecnego Sejmu. Polejowski zostanie więc pełniącym obowiązki do emerytury. A nietykalny IPN będzie robił, co mu się zamarzy, i za pieniądze, o jakich inni nawet pomarzyć nie mogą. Udowadniając, że władza ustawodawcza, wykonawcza i sądownicza w Polsce – czyli państwo – mogą ideologicznemu ramieniu polityki historycznej PiS naskoczyć.

Stefan Płonicki

eprasa.pl 3303931078

Rosyjskie przygody Barbary Brylskiej

1 stycznia 2026 r. przypada 50. rocznica premiery kultowej komedii Eldara Riazanowa „Ironia losu, czyli Szczęśliwego Nowego Roku". Przez pół wieku, rok po roku, w każdego sylwestra, film ten był emitowany na kilku kanałach państwowej telewizji.

Ta tradycja – najpierw w ZSRR, a potem w Rosji – jest równie niezmienna, jak dzwony wybijające północ na kremlowskiej Wieży Spasskiej, udekorowana choinka, szampan, czerwony kawior i sałatka Olivier na świątecznym stole.

Głupota jako metoda myślenia

Główną rolę – leningradzkiej nauczycielki języka rosyjskiego Nadii Szewielewej – w filmie „Ironia losu…" zagrała polska gwiazda filmowa Barbara Brylska. W lepszych czasach ten kinowy jubileusz mógłby stać się ważnym dniem w kalendarzu więzi kulturowych między Rosją i Polską, ale w tych niecnych stał się kolejnym źródłem skandalu, który zawstydza każdego rozsądnego Rosjanina.

Rosyjska deputowana do Dumy Państwowej o ukraińskich korzeniach (!) Olga Zanko zaproponowała „wymazanie" wizerunku Barbary Brylskiej z filmu i zastąpienie jej – zaprojektowaną przez sztuczną inteligencję – twarzą rosyjskiej aktorki i zagorzałej patriotki Walentyny Tałyziny. Tałyzina (niech spoczywa w pokoju) użyczyła głosu Barbarze Brylskiej, która słabo mówiła po rosyjsku i zagrała w tym filmie niewielką rolę przyjaciółki głównej bohaterki. „Najgorszą karą dla aktora jest zapomnienie. Kiedyś uwielbiana przez cały kraj Brylska, dokonała wyboru nazywając swoich fanów *ludźmi przeklętymi przez Boga*. Nasz kraj dał jej sławę i szacunek, ale możemy z łatwością wymazać tę aktorkę z *Ironii losu*…" – oświadczyła deputowana. Moja babcia mawiała, że głupota to nie brak rozumności, lecz specyficzna inteligencja… W tym wypadku ta specyfika poszła w stronę szaleństwa.

Dlaczego deputowani do Dumy Państwowej obrazili się na Barbarę Brylską? Dlatego, że Brylska jest gwiazdą filmową z „nieprzyjaznego kraju"? Tak, ale nie tylko. Barbara Brylska wspierała aktorkę Liję Achedżakową, która zagrała w filmie epizodyczną rolę drugiej przyjaciółki nauczycielki Nadii. Artystka Ludowa Rosji, laureatka Nagrody Państwowej, dwukrotna laureatka najwyższej rosyjskiej nagrody filmowej „Nika" i primabalerina Teatru Sowriemiennik Lija Achedżakowa została publicznie potępiona. Skrytykowała rosyjską inwazję na Ukrainę, za co zwolniono ją z teatru i poddano brutalnemu prześladowaniu.

„Oczywiście Achedżakowa będzie musiała wyjechać z Rosji. Nie dadzą jej żyć ci komuniści, ci przeklęci przez Boga ludzie" – broniła swoją koleżankę i partnerkę z planu Barbara Brylska.

Zanko, deputowana z ramienia Partii Komunistycznej, odebrała atak polskiej aktorki bardzo osobiście. Poparli ją członkowie innych partii. Niektórzy posunęli się dalej w swoim szaleństwie. Zaproponowali zastąpienie przy użyciu sztucznej inteligencji Barbary Brylskiej Elizawietą Bojarską, córką przyjaciela Putina, aktora Michaiła Bojarskiego.

Grana przez Barbarę Brylską bohaterka filmu „Ironia losu…" śpiewa piosenki głosem Ałły Pugaczowej. Primadonna radzieckiej i rosyjskiej sceny pop również potępiła wojnę w Ukrainie. Co więcej, Pugaczowa udzieliła sensacyjnego, trzygodzinnego wywiadu, w którym obnażyła zakulisowe kłamstwa Kremla. Z-propagandziści wieszali na primadonnie psy, ale ludzie stanęli po stronie swojej ukochanej piosenkarki. Nie udało im się uczynić z Pugaczowej „wroga ludu". Teraz deputowani proponują ponowne nagranie piosenek z filmu, które zaśpiewa piosenkarka lojalna wobec reżimu Putina. Walka z opozycją sięgnęła zenitu. Głupota jest jednak tak nieprzenikniona, że nie sposób jej w pełni zgłębić. Pochłania wszystko…

fot. YouTube / Screenshot

Kultura ponad polityką

Reżyser filmu Eldar Riazanow wspominał, że Barbara Brylska otrzymała rolę nauczycielki z Leningradu Nadii Szewielewej przypadkowo. Riazanow przesłuchał do tej roli kilkanaście radzieckich gwiazd filmowych, ale żadna nie przypadła mu do gustu. W oczach każdej z nich Riazanow dostrzegł – jak to ujął – „iskrę olśniewającej deprawacji". Reżyser potrzebował jednak absolutnej czystości charakteru. Z pomocą przyszedł asystent operatora filmowego. Powiedział Riazanowowi, że nad łóżkiem jego syna wisi wycięty z magazynu „Ekran" portret polskiej gwiazdy filmowej. Syn był nią zauroczony. Był to portret Barbary Brylskiej, która stała się marzeniem każdego mężczyzny w ZSRR po polskim melodramacie „Anatomia miłości". Riazanow natychmiast zadzwonił do Barbary i zaprosił ją na przesłuchanie. Brylska przyjechała do Moskwy, ale po wejściu do studia Mosfilm oświadczyła: „Maestro, nie przyszłam na próbę, tylko zagrać". Początkowo Riazanow planował, że Nadia Szewielewa zostanie nauczycielką języka polskiego. Miało to rozwiać wszelkie obawy dotyczące akcentu Brylskiej i uchronić ją przed dubbingiem rosyjskiej aktorki. Jednak nie zgodzili się na to urzędnicy partyjni, ujawniając tym samym swój stosunek do „braterskiej przyjaźni narodów".

Słynny kobieciarz Riazanow był oczarowany polską pięknością. Plotka głosi, że trzykrotnie żonaty reżyser adorował Barbarę, ale został uprzejmie odrzucony. Jak sam przyznał, odnalazł w Brylskiej „liryzm, uwodzicielską kobiecość i wyrafinowanie", których to cech potrzebował do filmu. Wszystko, czego radzieckie aktorki, przyzwyczajone do pokazywania „radości pracy" na ekranie, nie potrafiły pokazać na przesłuchaniu. Urok Barbary docenił nie tylko Riazanow, lecz również cała męska ekipa. Operator Wadim Alisow wspomina, że wszyscy postrzegali tę efektowną polską aktorkę nie jako aktorkę, ale jako „piękną kobietę". Pewnego dnia, gdy Barbara przebierała się w charakteryzatorni, bez pukania wszedł technik oświetlenia. Aktorka odwróciła się do oszołomionego mężczyzny i powiedziała: „Zamknij drzwi, bo przestaniesz patrzeć na swoją żonę".

Ale wróćmy do tematu. Załóżmy, że Barbara Brylska zostanie wycięta z filmu „Ironia Losu, czyli Szczęśliwego Nowego Roku". A co z drugą częścią kultowego filmu „Ironia losu. Kontynuacja"? Co z epickim filmem Jurija Ozierowa „Wyzwolenie", gdzie Brylska grała Helenę, polską antyfaszystkę z podziemia? Wystąpiła w trzech z pięciu odcinków. Jeśli by do tego doszło, to aktor Andriej Miagkow, grający doktora Żenię Łukaszina, który dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności poznał miłość swojego życia nauczycielkę Nadię, również musi zostać zastąpiony. Miagkow (niech spoczywa w pokoju) wypowiadał się niepochlebnie o polityce Putina. A Eldar Riazanow również nie był zachwycony Putinem, delikatnie określając. Nie ukrywał tego. Zamiast zakazywać i zwalniać niepożądanych aktorów oraz reżyserów, nie byłoby łatwiej zastąpić deputowanych głoszących idee z czasów stalinowskich represji?

Odpowiedź ekspertów opozycji na to pytanie jest oczywista. Ale nawet wśród prokremlowskich urzędników ds. kultury toczy się debata na temat „Ironii losu…". Oto kilka opinii.

Michaił Szwydkoj, były minister kultury Federacji Rosyjskiej: Kultura jest ponad polityką. Współpraca kulturalna, współpraca w dziedzinie edukacji, nauki i wymiana młodzieży powinny odbywać się niezależnie od sytuacji politycznej. Rosja ma wrogie elity polityczne, ale nie ma wrogich ludzi. Są wrogie państwa, ale nie ma wrogich narodów.

Ludmiła Ulicka, pisarka: Pogląd, że polityka jest ponad kulturą, że polityka kontroluje kulturę, jest błędny. Polityka jest jedynie fragmentem kultury, jej elementem. Kultura jako zjawisko jest znacznie wyższa, znacznie większa. Im wyższy poziom kulturalny populacji, tym mniejsze są różnice polityczne między narodami.

Michaił Piotrowski, dyrektor muzeum Ermitaż: Musimy znaleźć wyjście. Wymaga to chęci i woli. Potrzebny jest kompromis ukierunkowany na przyszłość. Historię należy zostawić w spokoju, aby wojny o pamięć mogły przekształcić się w dialog kultur. W przeciwnym razie dziedzictwo kulturowe może łatwo stać się podłożem wojen.

Anton Arbatow, Moskwa

przekład Marta Hofman

eprasa.pl 3303931078

Obcy wśród nas?

W Stanach Zjednoczonych tyle szokujących wydarzeń ma obecnie miejsce na ziemi, że mało komu przychodzi do głowy zadzierać ją w niebo. Jednakże to, co się na nim dzieje, a ostatnio intensyfikuje, przykuwa uwagę Amerykanów.

Astronomowie w Chile, pracujący w ramach finansowanego przez NASA programu badawczego ATLAS, 1 lipca wykryli pojawienie się w Układzie Słonecznym dziwnej, nietypowej komety nadlatującej z przestrzeni międzygwiezdnej. Została nazwana 3I/ATLAS. Zastanawiające parametry i zachowanie obiektu sprawiły, że niektórzy eksperci dopuścili do siebie niepoważną w poważnych głowach myśl, że być może to nie ciało niebieskie, lecz statek kosmiczny wysoko zaawansowanej cywilizacji. Najodważniej głosił tę pachnącą sezonem ogórkowym hipotezę prof. Avi Loeb, izraelsko-amerykański fizyk-teoretyk z Uniwersytetu Harvarda, do niedawna szef Wydziału Astronomii tamże. Loeb postawił kilka pytań, na które znawcy komet nie potrafili od razu przekonująco odpowiedzieć. Lecz środowisko, nie chcąc narażać się na pośmiewisko szerzeniem wieści o kosmitach, zaprezentowało kilka alternatywnych hipotez naukowych, wyjaśniających osobliwości enigmatycznego ciała kosmicznego.

Loeb jakby przycichł, lecz się nie poddał. Ostatnio znów brylował w mediach, bo 3I/ATLAS nie powiedział ostatniego słowa w kwestii niespodzianek. Astronomowie ze zdumieniem stwierdzili, że obiekt zmienia kolory. Emituje na przemian cztery: niebieski, pomarańczowy, zielony i czerwony. Kolory są najjaskrawsze w rejonie jądra komety. 26 listopada, gdy ATLAS wyłonił się spoza Słońca, wyraźnie dostrzeżono jego tajemnicze migotanie przez teleskop Gemini North na szczycie Mauna Kea na wyspie Hawai'i na Hawajach. Rozbłyski są emitowane w 7-godzinnych cyklach przez promienie gamma. 19 grudnia kometa przeleciała w najmniejszym dystansie od Ziemi i z ogromną prędkością zaczęła się oddalać w przestrzeń kosmiczną, kontynuując swój trwający miliony, a może miliardy lat lot. Jeszcze zanim to nastąpiło, prof. Loeb powrócił z teorią statku kosmitów w swym blogu na portalu astronomicznym Medium. 17 listopada opublikował tam dłuższy wywód, polemizując z opiniami większości astronomów.

Anormalna kometa

„Podstawą rozwoju nauki jest pokora uczenia się, a nie arogancja formułowania ekspertyz" – stwierdza profesor. Jako przykład pomyłki wynikającej z zadufania naukowców Loeb przytacza incydent z 2 stycznia 2025 r. Eksperci z Minor Planet Center zidentyfikowali wówczas „asteroidę poruszającą się w pobliżu Ziemi". Przy bliższych oględzinach okazało się, że jest to… samochód Elona Muska Tesla Roadster, wystrzelony jako ładunek jego rakiety SpaceX w 2018 r. By zilustrować rozmiary kosmicznego stogu siana, w którym wypatrujemy szpilki śladów życia, Loeb przypomina, że na Drodze Mlecznej są setki miliardów gwiazd takich jak Słońce. Jedna dziesiąta z nich ma systemy planetarne z warunkami potencjalnie nadającymi się do rozwoju życia.

Profesor Loeb wylicza 12 anomalii obiektu 3I/ATLAS, niepasujących do typowych cech komety. Część z nich jest trudno zrozumiała dla laika, jednak najważniejsze to: trajektoria, wielkość jądra i jasność – znacznie silniejsza niż znanych komet. Wymowy tych anomalii nie można ignorować – podkreśla Loeb. W opinii uczonego nie można też lekceważyć recepcji światowej widowni: „Ludzie traktują naukę jako trwające prace badawcze, nie zaś skończony produkt". Nauka często popełniała grube pomyłki. Einstein w latach 1935-40 był przekonany, że mechanika kwantowa nie ma racji bytu, a czarne dziury i fale grawitacyjne nie istnieją. Dziś astronomowie koncentrują wysiłki na poszukiwaniu w kosmosie mikrobów – konstatuje z pewnym rozgoryczeniem Loeb – choć lepiej byłoby przeznaczyć część z inwestowanych w badania miliardów na poszukiwania technologicznie zaawansowanych form życia. „Publikę znacznie bardziej pasjonuje poszukiwanie kosmitów niż mikrobów".

Casus ATLASA nie jest obecnie jedyną pozaziemską tajemnicą, która przykuwa uwagę nawet astronomicznych ignorantów w USA i gdzie indziej. Fascynacje narodziły się w Las Vegas, a w ich centrum było UFO. Nie to ze stron powieści i filmów science fiction, lecz o solidnej podbudowie naukowo-badawczej. Oraz wywiadowczej. Przez 27 miesięcy, począwszy od 2008 r., w Las Vegas działał powołany z inicjatywy demokratycznego senatora Harry'ego Reida tajny program Advanced Aerospace Weapon System Applications Program (AAWSAP), badający niezidentyfikowane obiekty latające. Senator zdobył 22 mln dol. na jego finansowanie. Zatrudniono 55 badaczy. Jedynym dziennikarzem dopuszczonym do niektórych tajemnic był George Knapp z TV KLAS 8 News w Las Vegas. W 2018 r., po długich staraniach, spotkał się z koordynatorem programu dr. Jamesem Lacatskim, naukowcem z branży rakietowej, a zarazem wysokim oficerem wywiadu wojskowego DIA.

Wilk na dwóch nogach

Dochodzenie koncentrowało się w północno-wschodnim zakątku stanu Utah, na farmie Skinwalker Ranch, należącej do miliardera z branży technologii kosmicznej Roberta Bigelowa. Lacatski wyznał, że on i współpracownicy naukowcy zostali zaalarmowani raportami o wtargnięciu niezidentyfikowanych obiektów latających na teren wielu newralgicznych baz wojskowych w USA. Relacja Lacatskiego brzmiała momentami jak opowiadanie fantastyczno-naukowe, którego autor zbytnio popuścił wodze fantazji. Chodzi o zjawisko zwane efektem autostopowicza. Co najmniej pięciu wysokiej rangi agentów DIA opowiedziało o swych wykraczających poza normalność doświadczeniach, związanych z badaniami w Skinwalker Ranch. Ich rodziny widziały w domach świetliste kule, cienie postaci oraz kształty, mające fizyczny charakter, lecz nic znanego nieprzypominające. Owe fenomeny podążyły za nimi, gdy ranczo opuścili. Widziano np. wilka na dwóch nogach. Co dziwniejsze, na drzewie, o które się oparł, dostrzeżono ślady pazurów. O „efekcie autostopowicza" mówili m.in. dr Colm Kelleher, manager AAWSAP w Las Vegas, lekarz Eric Davis oraz agent DIA Jay Stratton. Żaden z nich nie chciał rozgłaszać tego, co widział. Po formalnym rozwiązaniu AAWSAP stworzono – dzięki pomocy sen. Harry'ego Reida – jego lepiej utajnioną wersję Kona Blue. Lacatski w nowej książce sugeruje, że twór ten wciąż działa, lecz wzbrania się przed ujawnieniem szczegółów.

Utworzony przez Bigelowa National Institute for Discovery Science zbiera relacje mieszkańców Utah o niewytłumaczalnych zjawiskach, fantastycznych postaciach i nieznanych obiektach latających. Ludzie z Kotliny Uinta widują je od dekad. Badacze z instytutu zaczęli owe zjawiska obserwować. Dr Lacatski sądzi, że mogą to być „celowo indukowane halucynacje". Przez kogo? Tu brak racjonalnej odpowiedzi, choć wywiad nie wyklucza, że mogą to być poczynania Rosjan lub Chińczyków, testujących nowe bronie i środki zwiadowcze. Instytut koncentruje się na możliwym zagrożeniu bezpieczeństwa państwa oraz potencjalnym niebezpieczeństwie dla zdrowia mieszkańców, co chroni przed zarzutem powielania cudzych bajek i majaków. Badacze niechętnie dzielą się doświadczeniami, unikają mówienia o paranormalnych obserwacjach. Lacatski wyjawił, że władze wojskowe są w posiadaniu co najmniej jednego pojazdu pozaziemskiego, który uległ wypadkowi. Obiekt nie ma skrzydeł, silników, zbiorników paliwa ani widocznych źródeł napędu. Relacje o UFO pochodzące od wojskowych, to nic nowego. Już w 1947 r. pilot Kenneth Arnoldt raportował dostrzeżenie 9 niezidentyfikowanych obiektów nad stanem Washington. Rodzina opowiada, że przez resztę życia pilota w jego domu prześladowały go paranormalne fenomeny.

W ostatnich latach temat niezidentyfikowanych obiektów latających jest w USA szczególnie gorący. W ubiegłym roku przez miesiące w stanie New Jersey panowała histeria wywołana permanentnymi obserwacjami obiektów przypominających drony. To samo dzieje się w stanie Wyoming: władze powiatu Sweetwater County donoszą, że od 13 miesięcy nieznane obiekty pojawiają się na niebie na dużej wysokości, najczęściej w rejonie elektrowni Jim Bridger Power Plant. W ciągu roku wpłynęły 964 tego typu raporty; ostatni pochodzi z 13 grudnia 2025 r. Czy to działania wojska, akcje nieprzyjaznych państw czy, obecność UFO – wciąż nie wiadomo.

Janusz Zawodny, Tampa (Floryda)

eprasa.pl 3303931078

WIRÓWKA

Pierwszą literę odgadniętego hasła wpisujemy do środkowego, drugą do zaznaczonego pola, a następnie prawoskrętnie. Litery z pól ponumerowanych w prawym dolnym rogu utworzą rozwiązanie.

1) miejsce zamieszkania, 2) wykrzesana z krzesiwa, 3) zdjęta z karpia, 4) notatka na marginesie, 5) prezent dla łobuziaka, 6) tchórz tam ma duszę, 7) rządy z uciskiem, 8) owad jak helikopter, 9) szybszy niż żabka, 10) armatnie lub śmiechu, 11) wałkoń, 12) księga do pooglądania, 13) łańcuch górski w północnej Afryce, 14) strój lekarza, 15) morski rozbójnik, 16) pierwsze mleko, 17) leży na gwoździach, 18) atrybut marszałka, 19) pomyślny okres życia, 20) zmniejszenie ceny, 21) protoplasta złotej rybki, 22) odciski stóp na piasku, 23) uczeń szkoły wojskowej, 24) przeziębiony kraj, 25) pouczenie na końcu bajki, 26) na kołowrotku wędki, 27) prawosławny obrazek na desce, 28) przemowa przed wypiciem, 29) reakcja organizmu na lęk, 30) obok złota i kadzidła, 31) lek na kaszel, 32) kupowana w kiosku, 33) kuchenny toporek do mięsa, 34) zator na drodze, 35) dział spraw personalnych, 36) zmiana stanowiska na wyższe, 37) potwierdzenie jakości, 38) płaskie nakrycie głowy, 39) wakacje w lutym, 40) sukulent z Afryki na żele i napoje, 41) wzór, 42) entuzjazm, 43) jednostka prądu elektrycznego w układzie SI, 44) współbrzmienie kilku dźwięków, 45) średniowieczny portfel, 46) przedstawienie rozrywkowe, 47) niewielki zieleniec miejski, 48) mebel z trunkami, 49) stan w hipnozie podobny do niepełnego snu, 50) zasłona w boksie, 51) zielona część pietruszki, 52) potrawa z jaj z odrobiną mąki i innymi dodatkami, 53) rusałka lub paź, 54) ubiór zakonny, 55) dowód niewinności, 56) między oryginałem a kopią, 57) ośla dla nieuka, 58) ścierana gąbką z tablicy, 59) podłużne ciastko z czekoladową polewą napełnione kremem lub bitą śmietaną, 60) narciarskie okulary, 61) strata Zabłockiego, 62) nieprzetłumaczalne wyrażenie, 63) przyjezdny mieszkaniec Warszawy, 64) stawiana na plecach chorego, 65) drewniane wiaderko, 66) podliczany w sklepowej kasie, 67) jedwabna tkanina, 68) zasuwa w drzwiach, 69) włókno z barana.

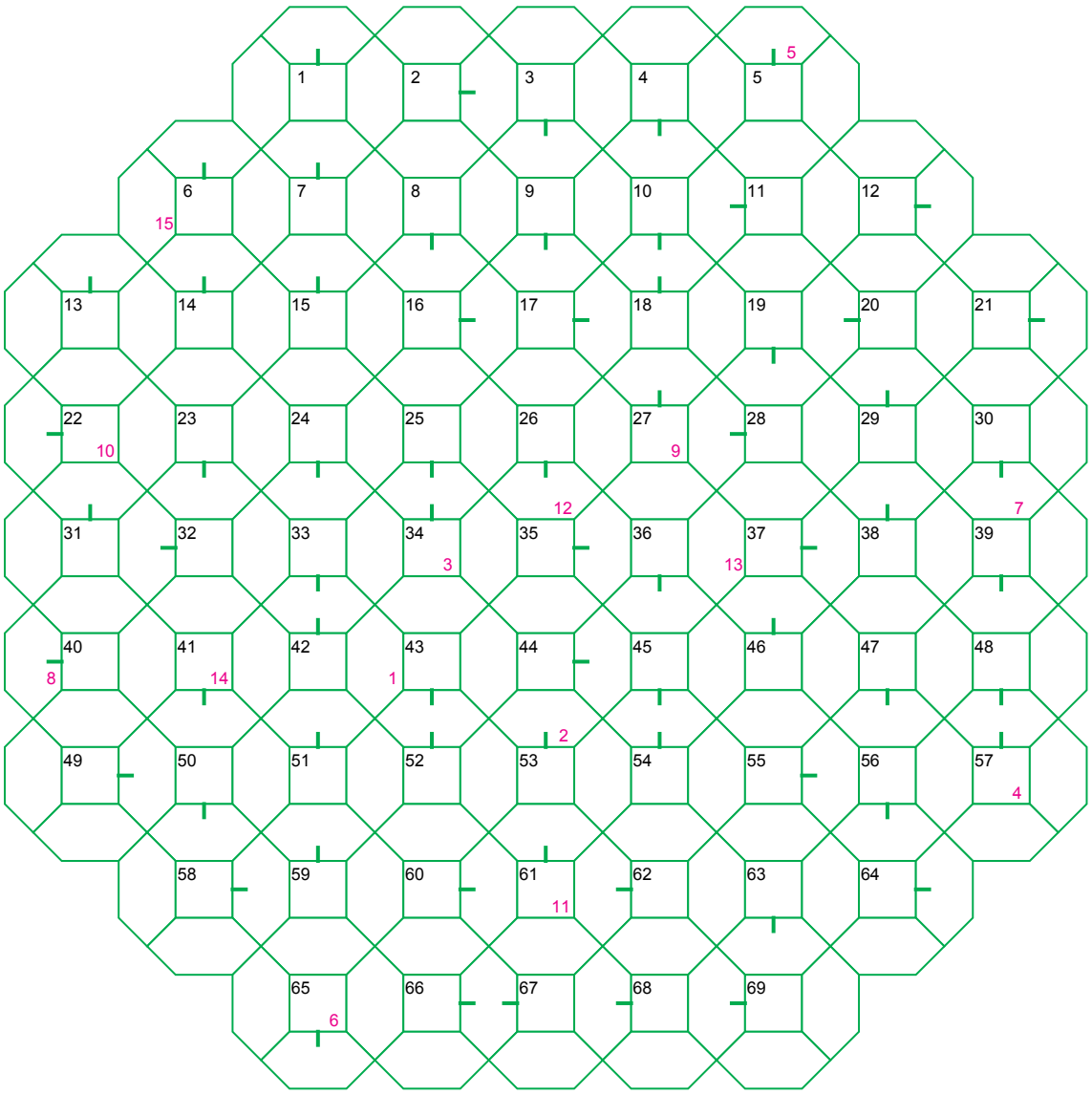

Rozwiązania krzyżówki prosimy nadsyłać w terminie 7 dni od ukazania się aktualnego numeru „FpM” na adres: krzyzowka@faktypomitach.pl lub pocztą pod adresem redakcji: „Fakty po Mitach”, ul. Łąkowa 11, 90-562 Łódź (biurowiec Tower Building).

Przesyłając rozwiązanie krzyżówki wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez administratora w celu przeprowadzenia konkursu/krzyżówki, w tym publikacji w „FpM” imienia, nazwiska i miejscowości zwycięzcy. Regulamin na stronie www.faktypomitach.pl

Rozwiązanie krzyżówki z numeru 50/2025:
„BARDZO DZIĘKUJĘ... DZWONIĘ DO CIEBIE Z BYDGOSZCZY!”.
Nagrody otrzymują:
Franciszek Psyk z Koluszek, Wanda Murawska z Lubska, Maciej Piwek z Żar.

– Cześć Marian, coś taki skwaszony?
– Jechaliśmy dziś z Heleną się rozwieść, ale nie dojechaliśmy...
– Co się stało?

– | 1 | 2 | 3 | 4 | 5 | 6 | 7 | 8 | 9 | 10 | 11 | 12 | 13 | 14 | 15 | ...

Nowy Jork: Dolan dołuje, Hicks rośnie

Od ponad dekady poglądy religijno-moralne i styl myślenia Watykanu oraz konferencji biskupów USA rozbiegają się coraz bardziej.

Prominentnym przedstawicielem antyliberalnej większości był nowojorski kardynał Timothy Dolan. Mianowanie na jego miejsce arcybiskupa Ronalda Hicksa komentatorzy określili „trzęsieniem ziemi”.

Hierarchowie składają rezygnację na ręce papieża, gdy ukończą 75. rok życia. Z reguły zwierzchnik jej nie przyjmuje, pracują do czasu obligatoryjnej emerytury w wieku 80 lat. W przypadku Dolana stało się inaczej. Od mianowania go przez Benedykta XVI liderem archidiecezji nowojorskiej w roku 2009 nie krył swego konserwatywnego podejścia do wiary ani rezerwy wobec papieża Franciszka. Był niechętny prawom katolików LGBTQ, szczególnie zezwoleniu na śluby i przyjmowanie komunii. Swe predylekcje forsował w sposób wyrafinowany, jest gładki i przebiegły. Gdy Trump objął Biały Dom, Dolan zapałał doń sympatią. W roku 2018 oświadczył, że „demokraci porzucili katolicyzm”. Wygłaszał modlitwy na obu inauguracjach kryminalnego prezydenta, jego permanentne kłamstwa nigdy nie doczekały się krytyki ze strony kardynała. Trump usiłował promować Dolana na następcę Franciszka.

Amerykanin Robert Prevost jako papież Leon XIV nie kryje krytycznego stanowiska wobec Trumpa. Skwapliwie przyjął rezygnację Dolana. 58-letni abp Hicks, od roku 2020 lider diecezji Joliet, wywodzi się z tego samego kręgu co papież: choć osobiście spotkali się dopiero w ubiegłym roku, obaj urodzili się i wychowali w rejonie chicagowskim. Hicks nie ma duszy bojownika kulturowego w stylu Dolana, nie jest liberałem, lecz – jak papież – otwarcie dezaprobuje łapanki i deportacje imigrantów, opowiada się za ludźmi „marginalizowanymi”. Wojna Trumpa z Wenezuelą, która formalnie już się rozpoczęła (oblężenie kraju, pirackie uprowadzanie tankowców itp.), z pewnością doczeka się krytyki ze strony Leona i Hicksa. Spodziewane reakcje Trumpa – coraz gorzej panującego nad emocjami i rozumem – gwarantują, że między Białym Domem a Kościołem w USA będzie coraz silniej iskrzyć.

Janusz Zawodny

eprasa.pl 3303931078

Gallette des rois to wypiek serwowany we Francji na 6 stycznia. Pachnący masłem placek z ciasta francuskiego wypełniony jest masą migdałową, w której ukryte jest ziarenko fasoli. Ten, kto je znajdzie, do wieczora dumnie nosi na głowie emblemat władzy królewskiej.

Kubuk.pl

Święta, święta! Jeszcze nie po świętach!

Koniec 2025 roku ułożył się interesująco, najpierw trzy dni biesiadowania z okazji Wigilii i Bożego Narodzenia, wprawdzie zaraz potem był weekend i jakaś teoretyczna szansa, by odpocząć od objadania się. Potem – dla niektórych – nawet dwa, trzy dni pracy, ale już od środy myśli się o sylwestrze, w Nowy Rok odsypia się zmęczenie i zjada resztki, a 2 stycznia niektórzy pracują, ale już zaraz jest weekend, dwa dni pracy i… kolejne święto, tym razem Trzech Króli.

Ciasto Trzech Króli

Ten tekst miał być o wyższości lekkiej kuchni, ale zupełnie niespodziewanie wcisnęło mi się do niego ciasto Trzech Króli, słynny francuski przysmak z masą migdałową, jadany tradycyjnie 6 stycznia. Chyba grzech go nie spróbować? Tym bardziej, że dla większości z nas jest jedyną szansą na koronację.

Zwyczaj podawania ciasta sięga XV wieku. Trochę przypomina nasze puste miejsce dla wędrowca. *Gallette des rois* dzielono na tyle części, ilu było uczestników uczty i zostawiano jeden kawałek *part du pauvre* przeznaczony dla biedaka, który pierwszy przekroczył progi domu.

A potem? Ktoś włożył do środka ziarno bobu (*fève*), a może wpadło tam przypadkiem. I tak narodziła się tradycja. A tradycja – rzecz święta. Zwłaszcza w święta. Dziś umieszcza się w nim fasolkę, cały migdał albo figurkę – zwaną *la fève* – porcelanową (bywały srebrne lub złote) lub, coraz częściej (o zgrozo!), plastikową. Kiedyś były to postacie biblijne, potem figurki zyskały kształt korony lub darów królewskich, a teraz są to postaci z bajek lub filmów. Istnieją nawet ich kolekcjonerzy nazywani *fabophiles*. W trakcie krojenia ciasta najmłodsza osoba zasłania sobie oczy lub chowa się pod stołem i decyduje, komu podać dany kawałek. Ten, komu trafi się z dodatkiem (i nie złamie na nim zęba), ma mieć szczęście przez okrągły rok, dostaje koronę, którą ma prawo nosić cały dzień.

Deser występuje w trzech odmianach. Na północy Francji pieką *galette de rois traditionnelle* lub *galette de Pithiviers* z ciasta francuskiego nadziewanego masą migdałową, na południu *gâteau des rois* z drożdżowego w kształcie sklejonych bułeczek z kandyzowanymi owocami, a na wschodzie *galette de Besançon* lub *galette comtoise* z ciasta parzonego przygotowywanego z dodatkiem wody z kwiatu pomarańczy.

Galette de Besançon

To ciasto – jak wskazuje nazwa – pochodzi z Besançon, a jego historia sięga XI wieku. Tamtejsi mnisi w ten sposób wybierali opata, ukrywając srebrną monetę w bochenku chleba. Jednak, jak to w skromnych zakonach bywało (pamiętacie naszą „Monachomachię" I. Krasickiego?), zwyczajny chleb zastąpiono czymś w rodzaju dużej brioszki zwanej *brioche*, przekształconej w karmelizowane ciasto, które stało się dość płaskim plackiem z parzonego ciasta pachnącego kwiatem pomarańczy.

Włączcie piekarnik, niech rozgrzewa się do 180°C. W tym czasie wlejcie do rondla 250 ml mleka ze 100 g cukru i 70 g masła i zagotujcie, następnie zdejmijcie garnek z ognia, dodajcie do mleka 130 g mąki i energicznie mieszajcie, aż powstanie kula ciasta, która nie będzie przyklejać się do ścianek. Cały czas mieszając, wbijajcie kolejno 4 jajka (3 całe i 1 białko) jedno po drugim (oprócz czwartego żółtka). Możecie użyć miksera, dzięki czemu łatwiej uzyskacie równomierną masę. Na koniec wmieszajcie 3 łyżki wody z kwiatów pomarańczy (do kupienia w sklepach arabskich, można zastąpić ją wodą różaną). Przełóżcie ciasto do natłuszczonej formy, wciśnijcie migdał, końcówką noża zróbcie na wierzchu kratkę, zaznaczcie też miejsca podziału. Pieczcie 5 minut, wyjmijcie, posmarujcie wierzch roztrzepanym żółtkiem, potem pieczcie jeszcze 20-25 minut.

Galette de rois

Chyba najbardziej znane ciasto, nie jest pracochłonne, jeśli kupicie zamrożone francuskie ciasto, ale pamiętajcie, by sprawdzić skład, powinna być w nim mąka pszenna, masło (żaden tłuszcz palmowy!), woda, ocet, sól. Potrzebujecie dwa płaty ciasta i masę migdałową. Zmielcie 125 g migdałów, zmiksujcie je z 125 g cukru, 125 g masła i, ewentualnie, odrobiną olejku migdałowego, ale zróbcie to ostrożnie, by zbytnio nie uperfumować masy. Wbijcie jajko i wymieszajcie do połączenia składników.

Okrągłą blaszkę posmarujcie masłem, oprószcie mąką. Wyłóżcie ciastem francuskim, odetnijcie jego nadmiar, nakłujcie dość gęsto widelcem. Wyłóżcie na nie masę migdałową, ukryjcie w środku fasolkę lub migdał. Wytnijcie mniejszy krążek z drugiego arkusza ciasta francuskiego i połóżcie na wierzch. Dokładnie zalepcie brzegi. Na środku zróbcie dziurkę, którą wydostanie się powietrze. Teraz ostrzem noża narysujcie ślad, by łatwo było je dzielić, ale nie przetnijcie ciasta! No i pamiętajcie, gdzie jest migdał, żeby go potem nie przekroić, bo cała zabawa na nic. Żółtko roztrzepcie z łyżeczką wody i posmarujcie nim równomiernie wierzch. Wstawcie do piekarnika nagrzanego do 220°C. Po 5 minutach obniżcie temperaturę do 200°C i pieczcie kolejnych 20-30 minut, aż wierzch będzie złocisty.

Gâteau des rois

Jest ciastem drożdżowym, okrągłym, z dziurą na środku, udekorowanym kandyzowanymi owocami, przypominającym królewską koronę. Ma też i inne nazwy – *brioche des rois, couronne des rois, royaume*. Rozpuśćcie 15 g drożdży w ciepłej wodzie. Wsypcie do miski 300 g mąki, 50 g cukru, szczyptę soli, dodajcie 2 łyżki wody pomarańczowej lub stratą skórkę z pomarańczy, wymieszajcie, wlejcie drożdże i rozbełtane jajo. Wyrabiajcie 10 minut, potem dodajcie 70 g rozpuszczonego masła. Wyrabiajcie, aż ciasto będzie odchodzić od dłoni. Przykryjcie, odstawcie w ciepłe miejsce do wyrośnięcia. Odpowietrzcie, uderzając w nie pięścią. Ukształtujcie wałek, połączcie końce. Włóżcie figurkę lub fasolkę. Przełóżcie do formy, wstawcie w środek kominek z rulonika z tektury lub małą obręcz cukierniczą, przykryjcie i odstawcie w ciepłe miejsce na 45-60 minut. Przed włożeniem do piekarnika posmarujcie żółtkiem wymieszanym z mlekiem, posypcie cukrem, udekorujcie kandyzowanymi owocami. Pieczcie w 180°C przez 30-40 minut.

*

Ciasto Trzech Króli zawędrowało do Portugalii w 1829 r. Upiekł je właściciel cukierni Confeitaria Nacional i szybko zyskało uznanie. Dziś specjał ten, nazwany *bolo rei*, przypomina trochę keks; zwykle pakuje się go w papier z brzegami powycinanymi jak korona.

Ale to już zupełnie inna historia.

Stronę redaguje **Joanna Cyterska**

eprasa.pl 3303931078

Jak zostać Polakiem

Z gadziej perspektywy

Czy Matka Boska Częstochowska zdałaby test na Polkę?

Trudniej będzie zostać Polakiem. Już od przyszłego roku. Ostatni wielki wyż demograficzny mieliśmy w Polsce w latach osiemdziesiątych XX wieku.

W czasie stanu wojennego, upadku polskiej gospodarki, poczucia powszechnej beznadziei. Kiedy powszechnym marzeniem młodych Polaków był wyjazd z kraju. Praca zarobkowa na Zachodzie, lepsze życie na emigracji. Nawet kontrakty zawodowe na Węgrzech, w NRD, Czechosłowacji uważano wtedy za lepsze od życia w naszym kraju. Teraz Polska aspiruje do grona dwudziestu najbogatszych gospodarek świata. Z biednego państwa produkującego migrantów stała się państwem atrakcyjnym dla cudzoziemców.

Z roku na rok odwiedzają Polskę coraz większe grupy turystów, dziennikarzy, blogerów, kibiców sportowych, influencerów. Zwykle rozpowszechniają pozytywne, czasem entuzjastyczne, opinie o naszym kraju. I choć są efektami turystycznych, naukowych, kongresowych, kibolskich, erasmusowych wizyt, to ich pozytywny efekt kumuluje się i idzie w świat. I tak Polska zaczyna podobać się światu bardziej niż mieszkającym w niej Polakom.

Opinie o aktualnym polskim dobrobycie utwierdzają niedawni polscy emigranci zarobkowi. W 2019 r. szacowano, że w Wielkiej Brytanii przybywało około 800 tysięcy imigrantów z Polski. W roku 2025 ich populację obliczano na 400 tysięcy. Nie wiemy dokładnie, co stało się z 400 tysiącami, którzy zniknęli ze statystyk. Ilu ich umarło, ilu – wzorem brytyjskich obywateli – postanowiło wieść żywot w cieplejszej Grecji, Hiszpanii, Portugalii. A ilu wróciło do Polski?

Natomiast masowy wysyp nowych, nowocześnie już wybudowanych domów, obserwowany na polskich wsiach, dowodzi, że zarobione za granicą pieniądze zostały wydane w Polsce. I pewnie niejeden z ich fundatorów, pracujący nadal za granicą, dopuszcza, że lata emeryckie spędzi w rodzinnym Beskidzie, choć mógłby też w Toskanii.

Na pewno też warunki życia, pogarszające się w Wielkiej Brytanii po wyjściu jej z Unii Europejskiej, skłaniają mieszkających tam Polaków do powrotu. Wrócą do nas jako emeryci. Pożądani przez swych wnuczków.

Ale jako obywatele już w wieku nieprodukcyjnym. Powiększający grono przyszłych klientów już teraz deficytowych geriatrów, opiekunów seniorów, rehabilitantów.

Jaki Polak?

O tym, że Polaków w Polsce już brakuje i z roku na rok coraz więcej będzie ich brakować, wiedzą już wszyscy. Nawet prezydent RP i premier RP. Mimo to prezydent Nawrocki proponuje ustawowe przedłużenie wymaganego wobec cudzoziemca dla uzyskania polskiego obywatelstwa czasu pobytu w naszym kraju. Z obowiązujących obecnie trzech lat do dziesięciu. Czemu dziesięciu, a nie siedmiu, dziewięciu, jedenastu?

Premier Tusk i jego rząd, oprócz dłuższego czasu pobytu w naszym państwie, proponują dodatkowe warunki. Pragnący zostać Polakiem/Polką cudzoziemiec będzie musiał podpisać deklarację lojalności wobec polskiego państwa. Są propozycje, aby taka deklaracja miała dodatkowe konsekwencje prawne. Taki cudzoziemski zdeklarowany Polak, przyłapany na szpiegostwie na rzecz obcych państw, miałby od razu tracić polskie obywatelstwo.

To brzmi nibysłusznie, ale co z polskimi Polakami przyłapanymi na szpiegostwie? Oni takich lojalek nie muszą podpisywać. I obywatelstwa automatycznie nie tracą.

Kolejnym warunkiem uzyskania polskiego obywatelstwa przez cudzoziemca ma być jego rezydencja podatkowa. Zasada: skoro płacisz w Polsce podatki, to jesteś polskim obywatelem. Gorąco popieram płacenie podatków w Polsce. Ale znów Polak cudzoziemiec będzie w gorszej sytuacji niż polski Polak. Znany publicysta Rafał Ziemkiewicz, zarabiający w Polsce na krytykowaniu „Polactwa", stale unika płacenia podatków w Polsce. Zamiast odprowadzać składki na ZUS, udaje tu biednego rolnika i uiszcza minimalne składki w KRUS.

Ostatnim warunkiem uzyskania polskiego obywatelstwa byłby pozytywnie zdany egzamin z polskości. I tu znowu pojawia się problem. O fundamentalnym znaczeniu. Czym jest obecnie ta „polskość"? A także – kto będzie egzaminował z tej „polskości"?

Znajome Polki z Litwy i mieszkające w Polsce Ukrainki skarżą się, że tutejsi polscy Polacy regularnie zwracają im uwagę, że mówią źle po polsku, bo z „ruskim akcentem". Ze wschodnim, kresowym zaśpiewem. Ci niedouczeni polscy Polacy nie wiedzą, że to one mówią tak, jak kiedyś Adam Mickiewicz, Juliusz Słowacki, Józef Piłsudski i inni wielcy Polacy.

A ci niedouczeni Polacy mówią z akcentem jak pruski, czyli niemiecki, policjant. Ja zresztą także tak twardo mówię, ale mam tego świadomość.

Bez kanonu

Nie ma też jednej „polskiej polskości". Inna jest polskość wyrosła z Kresów, inna z Gdańska, inna ze Śląska. Inna ukształtowała się w zaborze pruskim, inna w austriackim, inna w rosyjskim. Nie ma już stereotypu Polaka-katolika, podobnie jak Polaka-alkoholika, „Polskich dróg", a także polnische Wirtschaft.

Trudno stworzyć kanon polskich dzieł literackich akceptowanych i czytanych przez Polaków wszystkich generacji.

Jeszcze gorzej jest ze znajomością historii Polski. Tej prawdziwej, niesfałszowanej przez politykę historyczną wymieniających się ekip rządzących. Swojej historii miliony polskich Polaków zwyczajnie nie znają. I jakoś tu żyją.

Kandydatów na polskich obywateli można by odpytywać ze znajomości polskiego systemu politycznego. Z obowiązującej konstytucji. Ale obecny prezydent RP tej konstytucji jawnie nie respektuje. Przynajmniej kilka milionów polskich Polaków tego prezydenta nie respektuje, uważa jedynie za „gangusa". Innych kilka milionów polskich Polaków uważa obecnego premiera za „opcję niemiecką". I też go nie szanuje.

Gdyby Matka Boska Częstochowska Królowa Polski przybyła do nas jako ofiara wojny w XIV wieku w Ukrainie i starała się teraz o polskie obywatelstwo, to pewnie odpadłaby na starcie.

Bo ten „ruski akcent", bo ta ciapata ciemna karnacja i jeszcze to żydowskie pochodzenie.

A jej Jezus prędzej by jakiegoś Bąkiewicza zobaczył niż należne mu 800+.

Piotr Gadzinowski

WITAMY W KLUBIE

No i siedzę sobie w mojej nowej pakamerze pijąc jakiś substytut kawy. Po wyburzeniu Bloku Centralnego klecha zaproponował mi lokum za pracę. A że samą pracą człowiek nie wyżyje to wcisnął mi sporą pożyczkę, którą łyknąłem w chwili otumanienia. Moje nowe miejsce zamieszkania i pracy to cieciówka przy nocnym Klubie, nowym dziecku o. Oktana, Proboszcza Naszej Parafii, czyli właściciela tego przybytku rozkoszy i hazardu – bo jest tu również Kasyno. Czeka z utęsknieniem na jeleni różnej maści: księży, polityków, alfonsów, polityków-alfonsów, czy też zwykłych idiotów marzących o szybkiej kasie. Otwarcie dopiero za tydzień, ale już w okolicy pojawiły się punkty kredytowe, kioski z „chwilówkami" i lombardy. Oktan i o to zadbał. Dziewczynki moszczą sobie gniazdka pod latarniami, nieświadome, że mięśniak Stacho, Szef Ochrony Klubu niedługo im wytłumaczy gdzie, jak i dla kogo pracują. Proboszcz, jako urzędnik najstarszego na świecie syndykatu (tego z ciągle tą samą małą literką „t" w logo), wie jak zarządzać interesem. Setki lat doświadczenia firmy, która robi w kasie, seksie i prochach (zmarłych) robią swoje. Człowiek zawsze będzie potrzebować tego, co klecha ma w pakiecie: kobiet, facetów, prochów, hajsu i religii na koniec; ta się tym idiotom przydaje gdy już się te wcześniejsze straci lub nie będzie człowieka na nie stać.

Wszak religia oczyszcza duszę i uwalnia z poczucia winy. Oczyszcza skutecznie. O kontach bankowych tych jeleni nie wspominając. To się nazywa synergia.

OBYWATEL JANEK

eprasa.pl 3303931078

Czerwone korale

Mebel-symbol, ale czego?

W Polsce nawet meble bywają politycznie podejrzane i konfliktogenne.

Od trzydziestu siedmiu lat Polacy nie potrafią się porozumieć czy Okrągły Stół był patriotyczny, czy zdradziecki – czy to historyczne miejsce pracy, czy ikona, narodowa relikwia, fetysz transformacji, akt założycielski demokracji, artefakt III RP, czy symbol hańby.

Roboczy mebel

Okrągły stół, pisany małymi literami, zamówiła PZPR na negocjacje z „Solidarnością" jesienią 1988 r. w jednej z państwowych fabryk mebli. Składał się z zestawianych segmentów i został umieszczony w Sali Kolumnowej Pałacu Namiestnikowskiego (obecnie Pałac Prezydencki). Był okrągły, bo to gwarantowało brak miejsca honorowego, formalną równość układających się stron (władza – opozycja) oraz dawało czytelny przekaz propagandowy, także na potrzeby mediów.

Trwające dwa miesiące obrady, w których uczestniczyło ponad 700 osób, toczyły się podczas około 100 posiedzeń, w różnych miejscach, przy różnych stołach, w trzech głównych zespołach (gospodarki i polityki społecznej, reform politycznych i pluralizmu związkowego), 10 podzespołach (ekologii, górnictwa, polityki mieszkaniowej, młodzieży, nauki, oświaty i postępu technicznego, reformy prawa i sądów, rolnictwa, środków masowego przekazu, stowarzyszeń i samorządu terytorialnego, zdrowia) oraz kilku grupach roboczych.

Podczas trudnych negocjacji ustalono m.in. utworzenie Senatu i urzędu prezydenta PRL, kwotowe wybory do Sejmu, likwidację Rady Państwa, rejestrację „Solidarności" i NZS, większe kompetencje Trybunału Konstytucyjnego i Rzecznika Praw Obywatelskich, dostęp opozycji do mediów. Pracowano głównie przy podstolikach, a relatywnie najrzadziej spotykano się przy okrągłym stole.

Trampolina do kariery

W 1989 r. jeszcze nikt nie przypuszczał, że Okrągły Stół, pisany dużymi literami, da nazwę negocjacjom prowadzonym od 6 lutego do 5 kwietnia 1989 r. przez przedstawicieli władz Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, czyli PZPR, demokratycznej opozycji oraz dwóch kościołów (katolickiego i ewangelicko-augsburskiego) i zawartemu wtedy porozumieniu. Tym bardziej, że stanie się trampoliną dla wielu karier z obu stron negocjacji.

W tej drugiej, symbolicznej, roli Okrągły Stół wykreował trzech prezydentów RP (Lecha Wałęsę, Aleksandra Kwaśniewskiego, Lecha Kaczyńskiego), pięciu premierów (Czesława Kiszczaka, Tadeusza Mazowieckiego, Jana Olszewskiego, Leszka Millera, Jarosława Kaczyńskiego), czterech wicepremierów, sześciu marszałków i wicemarszałków Sejmu i Senatu, 75 ministrów i wiceministrów, przynajmniej setkę parlamentarzystów, kilku prezesów Sądu Najwyższego i trybunałów oraz redaktorów naczelnych gazet. Większość wolała nie pamiętać korzeni swojego sukcesu i przypisywać go wyłącznie sobie.

Pojawia się i znika, bo powoduje bzika

Po zakończeniu obrad mebel został rozmontowany, schowany i przez kilka lat nigdzie nie było jego stałej ekspozycji. Dopiero prezydent A. Kwaśniewski zarządził ustawienie historycznego rekwizytu jako integralnego elementu wyposażenia Pałacu Prezydenckiego. Po 2005 r. stół był zazwyczaj w magazynie, skąd wyciągano go jedynie jako czasową aranżację rocznic obrad, wydarzeń edukacyjnych, wystaw historycznych. Ostatni duży i godny, choć tylko chwilowy powrót miał za prezydentury Lecha Kaczyńskiego, z okazji 20. rocznicy przemian ustrojowych. Po obchodach znów trafił do magazynu, z którego bywał już coraz rzadziej wyciągany, bo coraz mniej pasował do politycznego wizerunku narracji kolejnych prezydentów.

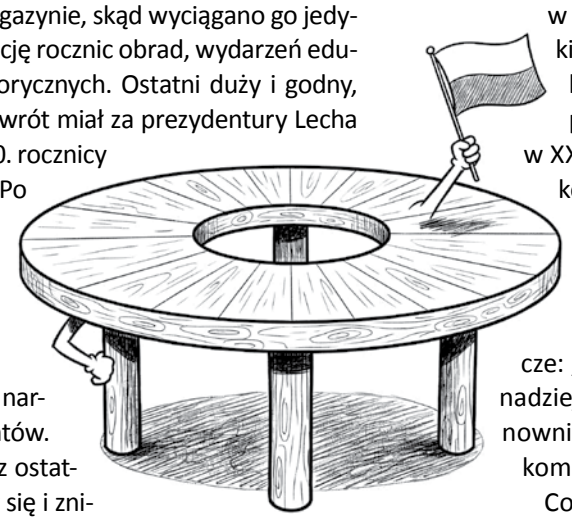

W konsekwencji przez ostatnich 15 lat stół pojawiał się i znikał między pamięcią a zapomnieniem, bo nie było zgody, co do jego znaczenia. Stawał się coraz bardziej niewygodny, gdyż polska polityka lubi czyste podziały, moralne absoluty, heroiczne symbole, bohaterów ginących za sprawę, a w Okrągłym Stole zamiast patosu barykad i romantycznej ofiary, są negocjacje, kompromis, targi i dogadywanie.

Ponoć już prezydent Komorowski chciał się go całkowicie pozbyć, ale ostatecznie ani on, ani jego następca nie spieszyli się z działaniami, bo nie wiedzieli, jak zostaną przyjęte przez polskie społeczeństwo. Czy większość uzna Okrągły Stół za symbol kompromisu i dowód, że można było rozmontować socjalizm bez wojny domowej i rozlewu krwi, czy za symbol zdrady, który dał początek grubej kresce i wszystkim patologiom III RP. Na wszelki wypadek za najbezpieczniejsze uznali nicnierobienie.

Przeprowadzka stołu do muzeum

Ostatecznie decyzja o przekazaniu historycznego mebla do muzeum została podjęta jeszcze przez Andrzeja Dudę w samej końcówce jego drugiej kadencji. Nie wiadomo, czy takim akordem postanowił zakończyć polityczną karierę, czy zrobić dobrze swojemu następcy Nawrockiemu, który ma wręcz antykomunistyczną obsesję, w której Okrągły Stół jest symbolem zła, a demokracja zrodzona z kompromisu z komuchami jest mniej warta od wywalczonej choćby podczas kibolskiej ustawki.

18 grudnia 2025 r., w piątym miesiącu swojego żałosnego, usłanego wetami urzędowania, Nawrocki z nieukrywaną radością i satysfakcją ekspediował stół do Muzeum Historii Polski. W specjalnym oświadczeniu powiedział: „Z całą pewnością Pałac Prezydencki, to nie jest miejsce, w którym nadal powinien stać Okrągły Stół. Miejscem, w którym Okrągły Stół powinien się znaleźć jest Muzeum Historii Polski. Mówimy o historii. Oddajemy Okrągły Stół historii. Od roku 2027 będą go mogli, jako eksponat historyczny, podziwiać zwiedzający muzeum (...). Natomiast w najważniejszym gmachu w Rzeczpospolitej, w Pałacu Prezydenckim, Okrągły Stół nie powinien być symbolem, który będzie opowiadał o naszej przyszłości przede wszystkim, bo dziś, w XXI wieku młodzi Polacy, ale też moje pokolenie Polaków, nie musi iść na żadne układy z byłymi dyktatorami, komunistami, czy z postkomunistami".

Na zakończenie, parafrazując Joannę Szczepkowską, palnął jeszcze: „Chciałbym z dumą powiedzieć, i mam nadzieję, że nie przedwcześnie – dziś, szanowni państwo, skończył się w Polsce postkomunizm. Niech żyje wolna Polska".

Co jest w tym facecie, że nawet rozsądne działanie musi okrasić głupotą?

Za i przeciw eksmisji

Eksmisja okrągłego stołu z magazynowej niewoli w Pałacu Prezydenckim wywołała ogromne emocje, choć głównie wśród polityków mających pozytywne nastawienie do Okrągłego Stołu i reprezentowanego przezeń dialogu. Dla społeczeństwa, a zwłaszcza młodego pokolenia, Okrągły Stół, jako integralny czynnik i zarazem składnik ustrojowej transformacji, ma znaczenie podobne do resztek Muru Berlińskiego czy dwóch nagich mieczy, które wielki mistrz krzyżacki Ulrich von Jungingen wysłał królowi Władysławowi Jagielle przed bitwą pod Grunwaldem w 1410 r.

Obiektywnie, dobrze się stało, że Okrągły Stół, zamiast stać rozłożony w ukryciu, zapomnieniu i poniewierce, bez stałej ekspozycji, wreszcie będzie dostępny dla wszystkich i będzie niósł przesłanie porozumienia ponad politycznymi podziałami, którego tak bardzo Polsce brakuje. Źle, że Nawrocki, choć jest historykiem, nie rozumie, że okrągły stół można wyrzucić z prezydenckiej siedziby, ale Okrągłego Stołu nie da się wykreślić z polskiej historii, bo stanowi ostatni akt PRL.

A niezależnie od wszystkiego, Nawrocki nie zasługuje na zaszczyt bycia strażnikiem Okrągłego Stołu, tak jak nie jest godny stania na straży konstytucji.

prof. Joanna Senyszyn

FAKTY PO MITACH
TYGODNIK FAKTY PO MITACH
(INDEX 434000, ISSN 2719-5309)

Adres do korespondencji:
ul. Łąkowa 11, 90-562 Łódź
(biurowiec Tower Building)
sekretariat: tel. 501 258 385
w godz. 10.00-14.00
redakcja@faktypomitach.pl
listy@faktypomitach.pl
www.faktypomitach.pl
tygodnikfaktypomitach

Redaktor naczelny: J. Dariusz Cychol
Redaguje zespół: Anton Arbatow, Bożena Bednarek, Joanna Cyterska, Łukasz Czarnocki, Piotr Gadzinowski, Katarzyna Wilk-Wojtczak, Włodzimierz Galant, Andrzej Gerlach, Joanna Hańderek, Jakub Jabłoński, Wacław Jerzy Koniecpolski, Michał Kostur, Artur K. Lis, Krzysztof Lubczyński, Włodek Michalak, Tadeusz Nowak, Adam Papierniok, Bolesław Parma, Stefan Płonicki, Sławomir Sadowski, Joanna Senyszyn, Agnieszka Stefańska, Grzegorz Szokiński, Dorota Wróblewska.

Redakcja zastrzega sobie prawo do adiustacji i skracania tekstów. Nie zwracamy materiałów niezamówionych.
Wydawca:
„Mediator – Jan Dariusz Cychol"
ul. Pedagogiczna 22, 05-840 Brwinów
Regon: 141814816 NIP: 534 110 45 88
Dział kolportażu: kolportaz@faktypomitach.pl
Druk: ZPR MEDIA S.A.
ul. Jubilerska 10, 04-187 Warszawa

Dystrybucja: **Kolporter S.A., Garmond Press S.A.,**
Wersja elektroniczna: **nexto.pl e-Kiosk.pl eGazety.pl**
Prenumerata redakcyjna:
prenumerata@faktypomitach.pl
miesięczna – 40 zł (4 wydania)
I kwartał 2026 – 130 zł
„DO-CENT" sp. z o.o.
05-840 Brwinów, ul. Pedagogiczna 22
Nr konta: 32 1240 1242 1111 0000 1588 4921
Poczta Polska S.A.: sklep.poczta-polska.pl

eprasa.pl 3303931078

ZAORANE

Radom

Polacy od 20 lat obserwują nieustającą wojnę PO z PiS. Cierpliwości brakuje im jednak w bardziej błahych sytuacjach. 42-letni kierowca Mercedesa jechał za dostawczym Iveco. Gdy ten, zgodnie z przepisami, zatrzymał się na czerwonym świetle, 42-latek nie wytrzymał. Najpierw zaczął trąbić jak oszalały, po chwili wyjął broń pneumatyczną i… ostrzelał dostawczaka.

Kłodzko

Sposób na skosztowanie drogiego markowego alkoholu znalazł 51-latek, który jak gdyby nigdy nic wszedł między sklepowe półki, wybrał najdroższy trunek i otworzył butelkę. Jak informuje policja, „następnie zdając sobie sprawę z tego, że jest obserwowany przez pracowników wypił znaczą część zawartości butelki”. W końcu jak już się pije drogi alkohol, to warto, żeby ktoś to zauważył.

Szczytniki

Amatorzy wysokoprocentowych trunków powinni byli ogłosić przynajmniej minutę ciszy po tym, jak na trasie krajowej S7 w stronę Gdańska z drogi wypadła ciężarówka przewożąca piwo. Siła uderzenia auta w bariery energochłonne była na tyle duża, że przewożony ładunek rozsypał się na jezdni, całkowicie blokując ruch drogowy na kilka godzin. Najgorsze, że hektolitry złotego płynu wsiąknęły w ziemię.

Konstantynów łódzki

Takiej kumulacji to nawet w totolotku nie widzieli. Dwaj koledzy postanowili przeparkować samochód. Najpierw 38-latek cofając uderzył w stojący pojazd, wtedy za stery osobówki wsiadł jego 51-letni pasażer. Ten również doprowadził do kolizji. Pierwszy jechał bez uprawnień, drugi na sądowym zakazie. Obaj byli nietrzeźwi, a kierowana przez nich Toyota nie miała ważnej polisy i aktualnego przeglądu technicznego. Policjantom tłumaczyli, że żadnego mandatu nie przyjmą, bo przecież autem nie jechali… tylko cofali.

Dobrzeń Wielki

Policjanci zatrzymali kierowcę Renault, który miał w organizmie ponad 3 promile alkoholu. 53-latek tłumaczył mundurowym, że pomylił noc z porankiem i wsiadł do samochodu, bo myślał, że musi jechać już do pracy. Pracownik roku?

Wrocław

Bezprecedensowy wyrok zapadł w sprawie rolnika, który w 2020 r. dokonał oprysku rzepaku nielegalnym preparatem, co doprowadziło do śmierci 7,5 miliona pszczół. Sąd apelacyjny skazał Andrzeja L. na rok więzienia w zawieszeniu na dwa lata oraz zapłatę około 400 tys. zł nawiązki na rzecz poszkodowanych. Internauci zastanawiają się „czy chodzi o pszczelarzy czy krewnych zmarłych pszczół?”.

Z PiSiej pupy się wyrwało:

Przed swoim upadkiem ZSRR
otwierał nowe linie metra
i oblatywał nowe typy samolotów.
UE też różne rzeczy robi
i się tym chwali...

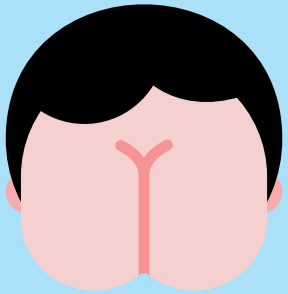

Ryszard Czarnecki
europoseł

FARYZJADA

Alfabet Polki

Ćwiczenie lingwistyczno-psychologiczne opracowane przez imperatorkę galaktyk prof. Joannę Senyszyn w celu rozwinięcia w Polkach poczucia własnej wartości, miłości i sympatii do siebie, kreatywności, asertywności, akceptacji swojego ciała i charakteru, dystansu, poczucia humoru, kobiecej solidarności, zadowolenia nawet z drobnostek i jeszcze wielu innych pozytywnych uczuć, zalet, zachowań, które ułatwiają życie, czyniąc je lepszym, mądrzej przeżywanym i przyjemniejszym.

Ćwiczenie ma na celu zmianę kobiecego sposobu myślenia o sobie na pozytywny. Polega na codziennym powtarzaniu rano, zaraz po wstaniu z łóżka, najlepiej przed lustrem i z uśmiechem, przynajmniej dziewięciu (po trzy na jedną literę) przymiotników/imiesłowów przymiotnikowych opisujących zalety kobiet. Jest ich w języku polskim bardzo dużo. Przykładowy, podany poniżej zestaw, obejmujący 75 słów, należy twórczo uzupełniać, aby się nie nudzić i rozszerzyć zasób pozytywnych określeń charakteryzujących kobiecość. Wypowiadanie alfabetu należy zaczynać od słów „Naprawdę jestem”… i dodawać:

A – atrakcyjna, ambitna, anielska;
B – boska, błyskotliwa, bezinteresowna;
C – czarująca, cudowna, ciepła;
D – doskonała, dumna, dzielna;
E – elegancka, energiczna, elokwentna;
F – fantastyczna, filuterna, fachowa;
G – genialna, godziwa, gościnna;
H – honorowa, hojna, harmonijna;
I – idealna, inteligentna, inspirująca;
J – jedyna, jednocząca, junacka,
K – kreatywna, kusząca, kochająca;
L – lojalna, logiczna, liryczna;
Ł – ładna, łaskawa, łagodna;
M – mądra, miła, motywująca;
N – nadzwyczajna, niezawodna, niezwykła;
O – oryginalna, optymistyczna, otwarta;
P – piękna, porywająca, ponętna;
R – romantyczna, rozważna, rzetelna;
S – seksowna, serdeczna, solidna;
Ś – świetna, świadoma, śmiała;
T – twórcza, tajemnicza, tolerancyjna;
U – urocza, uczynna, uprzejma;
W – wspaniała, wybitna, wielka;
Z – zjawiskowa, zdolna, zrównoważona;
Ż – życzliwa, żarliwa, żelazna.

Kobiety takie właśnie są, ale dały sobie wmówić, że mają być tylko szyją głowy domu i rękami wyręczającymi wszystkich domowników. Przez wieki obywatelki wszystkich numerów Rzeczypospolitej były wtłaczane w cierpiętniczy model matki-Polki. Choć w II RP uzyskały prawa wyborcze, nie zostały nauczone, że stanowią samoistną wartość, są pełnoprawnymi ludźmi, a dopiero w drugiej kolejności matkami, żonami, kochankami… i muszą same zadbać o swój dobrostan, pozycję, rozwój, samodzielność, niezależność. Dlatego codziennie, cierpliwie i z przekonaniem muszą się dowartościowywać poprzez powtarzanie swoich zalet. Ponieważ ćwiczenie czyni mistrza, a człowiek myśli słowami, z czasem zmieni to na lepsze nie tylko życie Polek, ale też relacje międzyludzkie, w tym rodzinne, małżeńskie, partnerskie i notarialne.

prof. Joanna Senyszyn

eprasa.pl 3303931078